Józef Czechowicz
Nieznane opowiadanie — str. 4

Kazimierz Bielenin
Zwiad lotniczy nad Górami Świętokrzyskimi — str. 7

Zdzisław Rajewski
Kosztowne milczenie lubelskiej ziemi — str. 8

Roman Michałowski
Przymus w leczeniu — str. 10

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 31.XII.1966 Nr 24 (357) R. XXXIII — DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — Wychodzi od 1933 r.

Od przedwrześniowych mitów do sztabu Armii Ludowej

Rozmowa z gen. bryg. Janem Wyderkowskim

Kontynuując serię wywiadów na temat działalności różnych osób i organizacji w okresie okupacji, zamieszczamy dzisiaj pierwszą część rozmowy z JANEM WYDERKOWSKIM, obecnie generałem brygady Wojska Polskiego, w okresie od końca października 1943 r. do wyzwolenia szefem sztabu komendy Obwodu (województwa) Lubelskiego Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Gen. Wyderkowski urodził się w Kępnie (woj. poznańskie) 19 czerwca 1913 r.

Jednocześnie wywiadem tym rozpoczynamy serię materiałów, związanych z 25-leciem powstania Polskiej Partii Robotniczej. W dalszym ciągu postaramy się przeprowadzić rozmowy z działaczami PPR, GL i AL.

Z ramienia „Kameny" rozmowę z gen. Wyderkowskim przeprowadzili red. JERZY DOSTATNI oraz dr ZYGMUNT MAŃKOWSKI.

WIEMY, że pochodzi Pan Generał z południowej części woj. poznańskiego, że był Pan oficerem przedwojennej armii polskiej. Ciekawi nas droga, którą doszedł Pan Generał do szeregów Gwardii i Armii Ludowej i to na jedno z kierowniczych stanowisk. I dlaczego na Lubelszczyźnie?

— Nie jestem wyjątkiem — do dziś w Wojsku Ludowym służy wielu oficerów armii przedwrześniowej. Wielu z nich brało udział w końcowych zmaganiach z wojskami hitlerowskimi w szeregach powstałego na terenach ZSRR Odrodzonego Wojska Polskiego, wielu po wyjściu z oflagów bierze czynny udział w organizowaniu nowoczesnej armii polskiej. Pewna ilość — między innymi i ja — rozpoczęła swoją działalność w GL stosunkowo wcześnie. Jeżeli ktoś interesował się historią Związku Radzieckiego, zwłaszcza w latach 1917/18 i później — stwierdził, że i tam wielu oficerów, i to posiadających wysokie stopnie, od razu opowiedziało się po stronie władzy radzieckiej, służąc do końca. Tam również pokazana jest ewolucja w psychice człowieka, jaką musiał każdy z nich przejść.

Tyle co się tyczy istoty sprawy. A szczegóły? Szkoła średnia przed wojną czy szkoła podchorążych piechoty formowały określony typ człowieka, narzucały światopogląd daleki od marksistowskiego. Treść kształtowania politycznego oparta była na kulcie „Dziadka", mocarstwowości i przedmurzu chrześcijaństwa — słowem na mitach. Klęska wrześniowa zdarła nam łuski z oczu. Brałem udział w kampanii jako dowódca plutonu szkolnego 57 p.p. w Poznaniu. W ramach armii gen. Kutrzeby biliśmy się pod Kutnem, gdzie zostałem ranny, pod Łowiczem, Sochaczewem i Bzurą, gdzie dowodziłem kompanią rozbitków. Nie mogąc dostać się do Warszawy, wróciłem w okolice Kępna i Ostrowa. W połowie 1940 r. chroniąc się przed aresztowaniem, pojechałem do Wrocławia, gdzie pracowałem w fabryce paszy dla koni jako robotnik. Załoga składała się z Polaków, Ukraińców i niewielkiej grupy Niemców. Ci ostatni to członkowie Komunistycznej Partii Niemiec, którzy po dojściu Hitlera do władzy przez kilka lat przebywali w obozach koncentracyjnych. Dyskusje z nimi wyjaśniły nam wiele spraw, przede wszystkim zaś pokazały prawdziwe oblicze faszyzmu. Ich argumentacja wielu z nas trafiała do przekonania. Z uwagi na terror i donosicielstwo Niemiec z Niemcem o sprawach światopoglądowych nie rozmawiał, z nami natomiast byli szczerzy i otwarci. Jeżeli po klęsce Francji i innych państw nie załamaliśmy się, to dzięki nim, oni nas zapewniali, że wszystko zmieni się z chwilą, gdy Hitler napadnie na Związek Radziecki.

Zostałem jednak aresztowany przez policję kryminalną za nielegalne przekroczenie granicy (dawnej Rzeszy). Siedziałem 4 miesiące w więzieniu na IV piętrze — na parterze wykonano w tym czasie 6 wyroków śmierci na Polakach i 5 na Niemcach. Gdy po zwolnieniu wróciłem do brata, na parterze 2 gestapowców zapytało mnie, gdzie mieszka niejaki Jan Wyderkowski. Mówiąc dobrze po niemiecku, wskazałem im jakieś piętro. Tego samego dnia byłem już w Krakowie, potem pojechałem do Częstochowy.

A dlaczego do Lublina? Po pierwsze moja bratowa pochodziła z okolic Kraśnika i od niej miałem zaufane adresy. Ponadto mój kolega gimnazjalny prowadził sklep z artykułami gospodarstwa domowego przy ul. Staszica na rogu ul. Zielonej. Chodziłem wtedy ciężko o lasce, nogi miałem dość poważnie sparaliżowane po owej ranie pod Kutnem. Jeszcze we Wrocławiu

(Dokończenie na str. 3)

Z problemów nowej prozy

Koniec zabawy Orłosia i innych

MACIEJ PODGÓRSKI

ZUPEŁNIE nie wiem, do jakiego z uznawanych oficjalnie „pokoleń" należy autor, o którym chciałbym tutaj mówić. Faktem jest natomiast, że dorobek Orłosia prezentuje dwa zasadnicze z kilku wykrystalizowanych już momentów, które zdają się stanowić głos świadomości intersubiektywnej grupy prozaików urodzonych gdzieś między 1935 a 1939 rokiem, głos będący wyrazem tego, co powtarzalne w doświadczeniach, jakie stały się udziałem tej grupy pisarzy. Pierwsze to po wojnie roczniki, jakim historia bezpośrednio i zasadniczo nie przyspieszyła czy powikłała życiorysu, towarzysząc im w sposób przedziwnie rytmiczny i niejako łagodny: okupacja, to dla nich wczesne, niezbyt świadome dzieciństwo; koniec wojny, to względnie normalny początek nauki szkolnej; przełom 1954—56 — matura i zaledwie początek dojrzalszej biografii oraz ważniejszych doświadczeń.

Debiutowali książkami przeważnie (acz nie wyłącznie) w latach 60-tych, pojedynczymi utworami oczywiście wcześniej. I chociaż niejeden z nich posiada już dziś tych książek więcej, to będąc obecnie człowiekiem około „trzydziestki", najważniejsze dokonania artystyczne ma zasadniczo jeszcze przed sobą. Tym bardziej, że okres, w jakim rozgrywa się ich dojrzalszy życiorys, cechuje swojego rodzaju osłabienie rytmu historii, ustabilizowanie się układów społecznych i politycznych w kraju, co zapewne nie sprzyja przyspieszeniu procesów artystycznego myślenia o świecie, determinuje ich rozwój powolniejszy i w pewnym sensie bardziej naturalny, ale z drugiej strony — perspektywicznie — wcale nie musi oznaczać w literaturze postawy biernej akceptacji istniejącego stanu rzeczy w jego ujemnych stronach, nie musi — perspektywicznie — oznaczać degradacji literatury do rzędu zwierciadła wałęsającego się po gościńcach. Aby jednak przezwyciężyć świat trzeba go sobie wpierw dokładnie uświadomić, a zaczyna się najczęściej od uświadomienia własnej w nim sytuacji wyjściowej.

Orłoś — urodzony w 1935 roku — jest autorem dwu tomów opowiadań — Między brzegami (1961) i Koniec zabawy (1965). W pierwszym wyodrębnia się przeważająca grupa utworów, których bohaterem i zarazem narratorem jest kilkunastoletni chłopiec, Pietrek, mieszkający nad bliżej nieokreślonym zalewem w jednej z osad rybackich. Łowi oczywiście ryby, pływa balią po zatoce, ucieka ciotce od zajęć gospodarskich, w szkole z siedmiu przedmiotów siedem „banfaków" itd. Nie przemienia się to wszakże w dobrotliwie opowiedziane przygody współczesnego Tomka Sawyera. Czysty świat mitów dziecięcych, istniejący poza dobrem i złem, paralelny do niewinnej natury (ciągłe zestawienia z przyrodą), służy tu nieustannej demaskacji świata rze-

(Ciąg dalszy na str. 9)

Sukcesów w pracy zawodowej pomyślności w życiu osobistym z okazji Nowego Roku

życzy „KAMENA"

Nie gloryfikujmy kowboja

AMERYKAŃSKI film kowbojski ukończył właśnie 63 lata. W 1903 r. wyświetlano w USA 14-minutowy „Napad na pociąg". Gdy zamaskowany kowboj, którego grał Broncho Billy, skierował rewolwer w stronę kamery — czyli prosto na widza — niemal wszystkie kobiety zemdlały, mężczyźni chowali się za krzesłami. Ale następnego dnia po premierze sala nie mogła pomieścić chętnych. Od tego czasu film kowbojski wzbudza najbardziej zacięte dyskusje. Jedni, jak Henryk Borowski w artykule „Etyka filmu cowbojskiego" („Kamena" nr 22) są zdecydowanie za, inni przeciw. Obojętnych zaś trudno się doszukać. Jest więc w tych filmach coś, co ludzi pasjonuje, podnieca, wzrusza.

Ale co? Akcja, aktorstwo, reżyseria, technika zdjęć? Wszystko zależy od punktu widzenia. Chyba jednak najmniej bezpiecznie jest pochwalać filmy kowbojskie za wartości etyczne, co właśnie zrobił H. Borowski.

To prawda, że wśród realizatorów westernów można spotkać nazwiska najwybitniejszych twórców filmowych za oceanem — John Ford, Raoul Walsh, Anthony Mann, King Vidor... Bohaterów odtwarzali Gary Cooper, John Wayne, Marlon Brando, Kirk Douglas, Gregory Peck, Burt Lancaster... Co z tego wynika? Raczej nic, bo przecież i producentom, i reżyserowi, i aktorom w ostatecznym rachunku chodziło o pieniądze.

Pan Borowski zapomina, że te westerny, które widzimy na naszych ekranach, to bardzo cieniutka warstewka olbrzymiej produkcji tego rodzaju filmów. Ale nawet jeżeli będziemy rozpatrywali tylko to, co widzimy na naszych ekranach, pozwolę sobie mieć inną ocenę.

(Dokończenie na str. 11)

ZACHODNIONIEMIECKI rząd chadeków i socjaldemokratów (CDU-CSU i SPD) sprawuje władzę już trzy tygodnie, ale zarówno kulisy jego powstania jak również polityka, jaką będzie on prowadził w praktyce, wywołują żywe zainteresowanie. Oto głos prof. **Mauriee Duvergera**, jednego z najbardziej znanych publicystów francuskich, zamieszczony na łamach tygodnika **LE NOUVEL OBSERVATEUR** pod tytułem „Niemcy w obliczu prawdy:

W 1928 r. nacjonaliści niemieccy uzyskali tylko 800 tysięcy głosów, tp. 2,7%, czyli o wiele mniej niż procent obecnej partii neofaszystowskiej w Hesji i Bawarii w zeszłym miesiącu. W 1932 r. uzyskali oni na 37 milionów wyborców już 13.750.000 głosów. Więc czasy, w których lwiątko będzie zdolne do niszczenia, nie są już być może tak odległe jak się wydaje.

Zaczyna się rozumieć, że zjednoczenie może dojść do skutku tylko w wyniku długiego procesu zbliżenia między obu częściami Niemiec, ze zgodą Związku Radzieckiego i demokracji ludowych. Zaczyna się dostrzegać, że wymaga to, aby Republika Federalna przestała być rodzajem 51 stanu USA, rzecznikiem i żołnierzem Ameryki na starym kontynencie i że powinna ona zająć pewien dystans w stosunku do USA. Po utracie tych złudzeń obywatele niemieccy znajdują się w obliczu gorzkich prawd.

...Wzrost NPD jest tylko jednym aspektem obecnej ewolucji Niemiec. Byłoby niesłuszne, gdyby przesłaniał inne o charakterze wręcz przeciwnym. Część opinii publicznej, znaczniejsza prawdopodobnie niż owe 8% wyborców neohitlerowskich, zaczyna realistycznie patrzeć na problemy zjednoczenia i polityki zagranicznej Bonn. Idea stopniowego zbliżenia obu części Niemiec w ramach stopniowego zbliżenia obu części Europy czyni postępy po drugiej stronie Renu.

Głosy prasy amerykańskiej na ten temat są bardziej podzielone. Jedni widzą w obietnicach nowego kanclerza Kiesingera przedłużenie polityki Johnsona (?), inni przestrzegają przed utratą wpływów USA w Europie. Zacytujmy jednak wyjątek z rozsądnego artykułu Harsha, zamieszczonego w **CHRISTIAN SCIENCE MONITOR:**

Naprawdę wielkim zadaniem, stojącym przed nowym rządem jest zademonstrowanie czynami na światowej scenie, że Niemcy wyciągnęły wnioski z błędów popełnionych w przeszłości i są obecnie zdolne stać się dobrym obywatelem świata i dobrym sąsiadem w Europie. Istnieją przesłanki aby przypuszczać, że Niemcy zachodnie pójdą na to, co się określa mianem „otwarcia dróg na Wschód". Oznacza to podjęcie pozytywnego wysiłku na rzecz zbudowania właściwych stosunków z komunistycznymi krajami Europy wschodniej. Oznacza to zarzucenie doktryny Halisteina. Oznacza to, że ambasadorzy Niemiec zachodnich znajdą się w krajach wschodnioeuropejskich, a być może nawet w Niemczech wschodnich. Oznacza to uznanie granicy na Odrze i Nysie. Oznacza to wyrzeczenie się broni atomowej. Oznacza jednym słowem to wszystko, co jest konieczne, aby uwolnić Europę wschodnią od obaw przed odrodzeniem się hitleryzmu.

Polityka amerykańska, a zwłaszcza wciąż nasilająca się brudna wojna w Wietnamie, odciągnęły uwagę opinii publicznej od innego niebezpieczeństwa, o którym kiedyś zresztą było głośno. O sprawach tych napisał James Reston z dużą dozą szczerości w **NEW YORK TIMES:**

Rozmiary amerykańskiej penetracji ekonomicznej za granicą są tam znacznie lepiej doceniane, aniżeli tutaj. Z początkiem bieżącego roku nominalna wartość inwestycji przedsiębiorstw amerykańskich w filiach i oddziałach zagranicznych sięgała 44,3 miliarda dolarów, z czego około 35 miliardów obejmowało przemysł przetwórczy, przemysł naftowy, górnictwo i hutnictwo.

Przedsiębiorstwa amerykańskie opanowały ponad 45% całego kanadyjskiego przemysłu przetwórczego, z czego przeszło połowę stanowi przemysł górniczy i hutniczy. USA opanowały blisko 1/3 całego kanadyjskiego przemysłu naftowego oraz przemysłu wydobywania gazu ziemnego.

W roku 1965 oceniano inwestycje amerykańskie w handlu i przemyśle W. Brytanii na 5,2 miliarda dolarów — to znaczy na kwotę o 600 milionów dolarów wyższą, aniżeli w r. 1964. W bieżącym roku kalendarzowym, amerykańskie inwestycje w W. Brytanii wzrosną o dalsze 760 milionów dol.

Tak więc, choć dzięki tym ogromnym inwestycjom powstają nowe gałęzie przemysłu, nowe możliwości zatrudnienia w tych krajach i wprowadzane są do nich nowe metody prowadzenia przedsiębiorstw i nowa technologia, zaczynamy coraz częściej słyszeć głośne wypowiedzi na temat amerykańskiego „imperializmu ekonomicznego", coraz więcej skarg, że „Europa pozostaje w tyle w dziedzinie technologii" oraz coraz więcej zarzutów, iż ogromne kapitały amerykańskie nie tylko opanowały wiele rynków zagranicznych, ale że zmuszają uboższe i starsze przedsiębiorstwa zagraniczne do wycofania się z interesów, a równocześnie przyciągają wielu najlepszych zagranicznych naukowców, inżynierów i innych techników, dając im w towarzystwach amerykańskich zatrudnienie.

Tu trzeba jednak dodać, że Reston widzi — a raczej tylko pisze — o wąskim odcinku „amerykańskiego imperializmu ekonomicznego", pomijając całkowitym milczeniem penetrację kapitału z USA do krajów Afryki i niektórych w Azji, co kończy się nową formą neokolonializmu. Ale wystarczy i to, co napisał, aby zdać sobie sprawę z wielu spraw, które w ostatecznym rezultacie decydują o polityce rządu.

5 lutego w Algierii odbędą się wybory do rad gminnych. Będą to pierwsze w tym kraju wybory po objęciu władzy przez Radę Rewolucyjną. Rada Rewolucyjna przyznała dekretem radom gminnym znacznie większą niż dotychczas władzę. W związku z tym korespondent **PAP** red. **Z. Morawski** donosił ostatnio w związku z kampanią przedwyborczą:

Apatia polityczna panuje głównie w miastach. Na wsi, gdzie do rad gminnych ludność wybierać będzie krewnych, znajomych czy sąsiadów, występuje ogromne ożywienie. Na zebrania informacyjne, organizowane przez komitety wyborcze, przychodzi cała męska ludność poszczególnych wsi, dyskusje są ożywione, krytyczne i szczere. Znaczna frekwencja panuje też przy sprawdzaniu list uprawnionych do głosowania.

Dotychczasowy przebieg kampanii wyborczej wskazuje na zdecydowanie rewolucyjne nastroje mieszkańców wsi, stanowiących 85% ludności Algierii.

Główne tematy dyskusji to: 1) reforma rolna, powszechne żądania, aby nie płacić odszkodowania wywłaszczonym obszarnikom; 2) metody zarządzania uspołecznionymi gospodarstwami rolnymi (krytyka niewydolnej administracji rolnej w terenie, żądania zwiększenia uprawnień samorządów robotniczych, potępienie starych nadużyć); 3) sytuacja handlu i rzemiosła na wsi (żądania uspołecznienia całego aparatu skupu płodów rolnych, postulaty zwiększenia kredytów na rozwój rzemiosła); 4) zadania szkolnictwa wiejskiego (powszechne żądanie pełnej arabizacji nauczania); 5) różne sprawy lokalne, jak budowa dróg, sztuczne nawadnianie itp.

Sądząc z dotychczasowego przebiegu kampanii ma ona charakter zdecydowanie ludowy.

Trudno już dzisiaj ocenić wyniki wizyty premiera ZSRR Kosygina we Francji. Przypomnijmy więc tylko kilka szczegółów. Po pierwszej konferencji prasowej w Paryżu francuska agencja prasowa **AFP** pisała:

Konferencja stała się niezaprzeczalnym sukcesem osobistym Kosygina. Po raz pierwszy szef rządu radzieckiego stanął przed tak trudnym i wymagającym audytorium, jakim są przedstawiciele prasy zachodniej. Odpowiedział na wszystkie pytania — w tym również na pytania, które miały być kłopotliwe — z dużym spokojem i swobodą, a częstokroć z poczuciem humoru.

Zajął on wobec Niemiec zachodnich jeszcze bardziej surowe stanowisko, aniżeli dotychczas. Zdaniem radzieckiego premiera NRF może przyczynić się do odprężenia w Europie, jeśli oceni realistycznie sytuację w Europie, tj. jeśli uzna, że żadna siła zewnętrzna nie może i nie będzie mogła w przyszłości zmienić sytuacji, w której istnienie dwóch państw niemieckich jest faktem.

Historia i dzień dzisiejszy

JÓZEF BARECKI

ZNOWU żegnamy kolejny rok, znowu robimy bilans czasu, który należy już do przeszłości. Oglądamy się za siebie i pytamy, jaki był ten fragment naszego życia, co nam przyniósł, co po sobie zostawił.

Był to przede wszystkim jubileuszowy, tysięczny rok państwa polskiego. Historia jest nauczycielką życia. Polska historia mogłaby zastąpić niejeden uniwersytet. Obchody Tysiąclecia stworzyły dobrą okazję do spojrzenia w przeszłość, do przypomnienia rzeczy dobrych i złych, do określenia stosunku współczesnej Polski i współczesnego Polaka wobec tysiącletniego dziedzictwa.

Był to rok przemyśleń, rok ogólnonarodowej nauki na uniwersytecie ojczystej historii. Owocnej nauki. Społeczeństwo polskie po raz pierwszy na taką skalę uświadomiło sobie, że jest spadkobiercą bogatej i złożonej spuścizny dziejowej narodu. „Wiemy, że są w tym dziedzictwie rzeczy dobre i złe — powiedział Władysław Gomułka — są karty piękne, napawające dumą, do których chcemy nawiązać i nawiązujemy. Są również karty ciemne, gdy prywata, egoizm i krótkowzroczność polityczna prowadziły naród na skraj przepaści. I te tradycje jako przestroga służą nam w całokształcie naszej działalności.

Przypomnienie przeszłości pozwoliło utrwalić w świadomości społecznej prawdę o doniosłej roli instytucji państwa. Nie powiodły się próby przywódców kościoła katolickiego osłabienia tej roli i podważenia jedności narodu. Przeprowadzony został bilans, który wykazał, że Polska współczesna, nowoczesna, socjalistyczna Polska zabezpiecza pełny rozwój narodu, gwarantuje zaspokojenie jego potrzeb i odpowiednią do jego możliwości rolę w świecie.

Dowodów tego dostarcza całe powojenne dwudziestolecie. Dostarczył ich również ubiegły rok. Można przytoczyć wiele interesujących danych, obrazujących postęp w gospodarce, kulturze czy nauce polskiej. Ograniczmy się do jedynego tylko, ale charakterystycznego przykładu.

Kraj nasz zawsze cierpiał na nadmiar ludności wiejskiej. Przed drugą wojną światową rolnictwem zajmowało się 3/4 mieszkańców Polski. Na wsi było 7—9 milionów zbędnych rąk do pracy. Istniało tzw. utajone bezrobocie, którego nie można było zlikwidować, dopóki brak było przemysłu.

Zaraz po wojnie rozpoczął się znamienny proces. W początkowym okresie sytuacja niewiele różniła się od przedwojennej. W 1946 r. mieszkało w miastach tylko 7,5 mln ludzi, na wsi zaś jeszcze 16 mln. Dziesięć lat później w miastach mieszkało już 12,6 mln ludzi, na wsi zaś tylko 15,5 mln. Minęło następne dziesięć lat. Przyszedł rok 1966. W tym roku ludność miast zrównała się z ludnością wiejską.

Istnieją ściśle związki między urbanizacją a przeobrażeniami dokonanymi w naszym kraju. W rozwoju miast znalazły odbicie postępy industrializacji, zmiany w zawodowej i społecznej strukturze ludności, rozwój kultury i ogromny awans społeczny mas ludowych. Znalazła odbicie droga, jaką przeszedł nasz kraj w powojennym dwudziestoleciu.

Nie z książek, ale na własne oczy, z własnej praktyki mógł nasz naród przekonać się w ciągu tego niedługiego okresu nowej Polski, że socjalizm pozwolił wydobyć się krajowi z zacofania gospodarczego, z zależności od obcego kapitału, ze słabości społecznej i gospodarczej. Z praktyki codziennej społeczeństwo mogło się przekonać, że socjalizm pozwolił zasypać przepaść wrogości, którą klasy posiadające wykopały między narodem polskim a naszymi słowiańskimi sąsiadami. Socjalizm sprawił, że po raz pierwszy od tysięcy lat na wszystkich granicach naszego kraju mamy przyjaciół.

Zadowolenie z dobrze spełnionego obowiązku przesłania nam jednak troska o nasz spokój, o spokojny dzień jutrzejszy. Rok 1966 nie tylko nie rozwiał obaw świata o przyszłość ludzkości, ale je pogłębił. Sprawiły to zwłaszcza dwa wydarzenia: rozszerzająca się amerykańska agresja w Wietnamie i eksplozja neohitleryzmu w Niemczech zachodnich.

W tej sytuacji szczególne znaczenie ma działalność Polski, zmierzająca do osłabienia groźby wojny i utorowania dróg do międzynarodowego porozumienia. Kraj nasz jest autorem popularnych w świecie projektów zamrożenia w Europie zbrojeń atomowych i utworzenia strefy bezatomowej. W roku 1966 projekty te wzbogacone zostały o nowe inicjatywy.

Pierwsza z nich dotyczy niezwykle ważnego problemu — bezpieczeństwa europejskiego. Brak pokoju w Europie nie jeden już raz doprowadził do katastrofy. W pamięci ludzi nie zatarły się jeszcze wydarzenia pierwszej wojny światowej, z życia wielu narodów nie znikły jeszcze ślady drugiej wojny światowej. Mimo takich doświadczeń sytuacja w Europie nie została dotąd uregulowana. Niemiecka Republika Federalna wysuwa oficjalne roszczenia do granic i terytoriów innych państw. Ostatnie zwycięstwa neofaszystów w tym kraju pogłębiają groźbę nowego konfliktu, nowych odwetowych porachunków w Europie.

Na początku 1966 roku Polska zaproponowała wszystkim krajom Europy zwołanie konferencji dla przedyskutowania i zorganizowania systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Dziś, kiedy kończy się rok, propozycja polska nabrała niezwykłej aktualności. W Niemczech zachodnich dochodzą do władzy ludzie zdecydowani iść w ślady Hitlera. Niepomni jego klęski chcą jeszcze raz spróbować szczęścia. System zbiorowego bezpieczeństwa uniemożliwiłby realizację tych planów.

Druga inicjatywa zapoczątkowana została przed kilku laty, wydała jednak owoce dopiero pod koniec minionego roku. Chodzi o znany polski projekt rezolucji w sprawie opracowania raportu Sekretarza Generalnego ONZ o skutkach działania broni jądrowych.

Kilka lat dojrzewała w ONZ ta idea, wiele trudu włożyła Polska w przekonanie innych państw, że aby skutecznie walczyć z atomową groźbą, trzeba ją dobrze znać. Wiedza o niszczycielskiej sile atomu ograniczona jest w zasadzie do wąskiego kręgu specjalistów i wojskowych. A tymczasem nagromadzony został tak wielki potencjał broni jądrowej, wynaleziono tak wiele możliwości przenoszenia jej i tak wiele wariantów zniszczenia kraju przeciwnika, jego miast, gospodarki, ludzi, że zjawisko stało się nieodłącznym elementem współczesnego życia, elementem, który powinien obchodzić każdego dosłownie człowieka naszej planety. To co wyprodukowano wystarczy, aby całą ludzkość zabić kilkaset razy. Ta ludzkość, nad którą wisi atomowy miecz współczesnego Damoklesa, musi być poinformowana o groźbie. Musi być świadoma tego, co jej zagraża. Musi wiedzieć.

„Jest rzeczą dużej wagi — powiedział w ONZ Władysław Gomułka wysuwając po raz pierwszy tę ideę — by ludzkość zdawała sobie w pełni sprawę, czym grozi jej nowoczesna wojna. Nie mamy prawa ukrywać przed narodami prawdy o działaniu broni jądrowej, broni masowego zniszczenia. Przeciwnie, mamy obowiązek prawdę tę głosić, aby łatwiej można było zespolić wszystkie wysiłki narodów w walce z groźbą wojny, o powszechne, całkowite rozbrojenie."

Propozycja polska została przyjęta jednogłośnie w komisji politycznej, wszystko wskazuje na to, że przyjęta zostanie przez Zgromadzenie Ogólne. Z chwilą opracowania raportu ludzkość uzyska dokument, który będzie mógł stać się ważnym elementem walki przeciwko największemu niebezpieczeństwu, jakie kiedykolwiek zagrażało naszej planecie, naszej cywilizacji, naszemu życiu: zagładzie atomowej.

Tym istotnym sukcesem kraj nasz zamknął swój wewnętrzny i międzynarodowy bilans. Wchodzimy w nowy, w tysięczny i pierwszy rok Polski. Nie będzie święcił on już żadnych jubileuszy. Czeka go zwykła, trudna praca.

przegląd PRASY

Lubelska **„KULTURA I ŻYCIE"**, dodatek do **„SZTANDARU LUDU"** podejmowała ostatnio pewne inicjatywy, zmierzające do przyspieszenia tętna życia intelektualnego w stolicy województwa. Jednym ze środków ma być przekształcenie dodatku niedzielnego w trybunę, gdzie spotykałyby się postawy, poglądy, czy po prostu rozmaite typy twórczości szerszego kręgu ludzi, z różnych środowisk. Na razie kończy się na dyskusjach, ale może w końcu coś z nich wyniknie. Nowa inicjatywa **„Kultury i Życia"** ma na celu przeprowadzenie szeregu rozmów i konfrontacji z przedstawicielami różnych profesji artystycznych, które mają stać się *„bodźcem do poszukiwania nowych metod działania i współdziałania"* i pomogą *„do usunięcia wielu przeszkód"*. Cel tych rozmów określił **Z. Mikulski:** redakcja pragnie przyczynić się do *„ożywienia twórczości artystycznej, prac badawczo-naukowych, działalności upowszechnieniowej w województwie lubelskim"*. Mikulski w imieniu redakcji wzywał środowiska pisarskie do częstszej obecności na łamach dodatku zwłaszcza z tematem współczesnym, aktualnym, gdyż *„jedna i druga strona winny znajdować zainteresowanie we wzajemnej współpracy"*.

Obecny stan izolacji nie odpowiada nikomu, natomiast nawiązanie dobrego sąsiedztwa, jak się wyraził **K. Bielski**, będzie pożyteczne, tym bardziej, że *„w gazecie jest wiele pola do obsiania przez dobrą felietonistykę, dobrą krytykę literacką, teatralną itp."*. **M. Bechczyc-Rudnicka** widzi ścisły związek między obliczem **„Kultury i Życia"** oraz **„Kameny"**, natomiast konkretniejsze uwagi o przyszłym profilu dodatku wypowiadali **J. W. Zięba** i **S. Weremczuk**. Pierwszy za główne jego zadanie uważa *„dopingowanie jednostek i środowisk twórczych do bardziej wytężonej pracy. Niekoniecznie muszą to być artyści, ale i dochodzący do nowych ciekawych odkryć naukowcy i wprowadzający istotne ulepszenia w produkcji przemysłowej technicy, jak i stosujący nowe metody uprawy gleby rolnicy"*. To byłby, zdaniem dyskutanta, element zbliżenia.

Wypowiedź Weremczuka skupia się na sprawie popularyzacji poezji. Właśnie *„pismo o masowym nakładzie i zasięgu współredagowane przez środowiska twórcze ma duże szanse przerzucenia pomostu między społecznością a twórcami i wyprowadzenia tych ostatnich poza rogatki zdegustowanego i (...) kapryśnego miasta"*.

Wydaje się jednak, że zbyt dużo w tej dyskusji padało ogólników, gdy po prostu potrzeba ludzi, którzy by poszczególnymi problemami się zajęli. Szukać należy inspiratorów, osobników z pomysłami, których inicjatywę mogłaby przejąć ta czy inna instytucja, a przynajmniej ją wesprzeć. Jak to się może odbywać, opowiada w **„ŻYCIU LITERACKIM" Z. Kwiatkowski** pisząc o jubileuszu olsztyńskiego stowarzyszenia społeczno - kulturalnego „Pojezierze". Stworzyło ono tygodnik „Panorama Północy", uratowało od likwidacji miesięcznik „Warmia i Mazury", ruiny zamków zamieniało w obiekty zagospodarowane, stworzyło ośrodek wydawniczy, powołało poważny instytut badawczy. I to jeszcze nie wszystko. Większość tych inicjatyw usamodzielniała się później i oderwała od pnia macierzystego, ale pozostały trwałe fakty. A czy — schodząc na grunt bliższy — istniałoby Wydawnictwo Lubelskie bez Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej?

Bo żeby coś się ruszyło, potrzebny po prostu jakiś Grzecznarowski, którego ma Radom i dzięki któremu dzieją się w tym mieście rzeczy niesłychane. **A. Paszyński** pisze właśnie w **„POLITYCE"** o poczynaniach radomskiego „katorżnika" (określenie w reportażu uzasadnione): *„Oto w tym właśnie mieście dokonuje się operacji przebudowy sporego fragmentu centrum, burzy się stare domy, stawiając na ich miejscu nowe! Nie pojedyncze budynki-plomby, ale całe zespoły. Znamy te rzeczy już niemal wyłącznie z kronik filmowych i to głównie z Londynu lub Paryża"...*

A przecież często uzbrajanie nowych terenów na peryferiach i pustkowiach jest nonsensem, poza tym nowe tereny nie mają należytego zaplecza w postaci sklepów, szkół, obiektów kulturalnych, nie mówiąc o rosnącym deficycie miejskiej komunikacji, która rozprasza swe siły. Toteż autor wzywa do przeliczenia zysków, które przynoszą radomskie doświadczenia. A zaczęło się od jednego człowieka.

Ujawnianie nonsensów działa zawsze uzdrawiająco. Czasem reporter styka się z faktami, które wyglądają niewiarygodnie, jak **„Historia jednego palca"**, opowiedziana także w **„Polityce"** przez **R. Karasia** i **Z. Pikulskiego**. Zaczęło się od drobnego wypadku, jakiemu uległ pracownik lubelskiego Motozbytu, od uszkodzenia palca, a skończyło na zwichnięciu temu człowiekowi życia i to z winy instytucji, która zajmuje się przywracaniem zdrowia. Darujmy sobie opis wszystkich, trwających 7 lat perypetii. Poszkodowany targnął się bowiem na autorytet, który za wszelką cenę broni swej niewinności. W sprawie poszkodowanego *„doszło do 27 posiedzeń sądowych, teczka z aktami spęczniała do kilkuset stron, stawało mnóstwo świadków i szesnastu rzeczoznawców lekarzy, w tym 6 profesorów"*. Zapadało 9 wyroków, poszkodowany 410 razy stawał na wezwanie różnych organów władzy i urzędów, a wszystko przez jedną pomyłkę i zwykłe lekceważenie interesu pojedynczego człowieka.

Tak się dzieje, gdy zwycięża racja silniejszego.

T. K.

Od przedwrześniowych mitów do sztabu Armii Ludowej

(Dokończenie ze str. 1)

leczył mnie mieszkający tam i przed wojną, i obecnie dr Kuczyński, ale kurację musiałem przerwać. U kolegi przebywałem 2 miesiące rzekomo jako wysiedlony student. W czerwcu 1942 r. pojechałem do wsi Karpiówka pod Kraśnikiem.

Tu chciałbym dodać, że w więzieniu spotkałem się z komunistami czechosłowackimi, którzy także stali się moimi nauczycielami. Przyjechałem więc jako człowiek zdający sobie sprawę ze zjawisk, zachodzących na świecie, nie wiedziałem jedynie, jak dalej postępować. W Karpiówce zetknąłem się z miejscowymi działaczami postępowymi, m.in. Leonem Plichtą, Józefem Surmą, Grytą. Przy ich pomocy znalazłem wreszcie drogę, po jakiej należy kroczyć, aby wziąć czynny udział w walce nie tylko o wyzwolenie narodowe, ale także społeczne. Oczywiście nie od razu rozmawiano ze mną otwarcie. Mimo rekomendacji obserwowano mnie bacznie, sondowano moje opinie. Tak trwało przeszło pół roku. Wreszcie gdzieś w lutym 1943 r. zorganizowano moją rozmowę z Czyżewskim i Grąbczewskim, zresztą głos zabierał raczej Czyżewski. No i tak wszedłem w szeregi Gwardii Ludowej. Początkowo włączono mnie do oddziału „Sępa" bez funkcji, potem zostałem powołany na oficera szkolenia w okręgu razem z „Orłem", w październiku zostałem przeniesiony do sztabu obwodu jako kapitan — uprzednio zweryfikowano mnie jako porucznika, chociaż w chwili zaprzestania działań wojennych w 1939 r. byłem podporucznikiem. Nominację na szefa sztabu GL otrzymałem w tymże październiku na naradzie, w której udział wzięli m. in. Moczar, Korczyński, Sidor, Kirpiczny.

— W czym Pan Generał widzi główne czynniki tak dużego rozwoju Gwardii Ludowej i Armii Ludowej na Lubelszczyźnie?

— Z Lubelszczyzny wywodziło się wielu postępowych działaczy okresu międzywojennego. Po wyłamaniu krat więzień sanacyjnych, po rozsypce spowodowanej działaniami wojennymi, wracają stopniowo w rodzinne strony, nawiązują przerwane kontakty, zadają sobie pytanie — co dalej? W ten sposób powstają luźne organizacje podziemne o różnych nazwach, oparte na jednej idei: walki z okupantem. Programy są bardziej lub mniej postępowe. Ale małymi grupami trudno rozpoczynać walkę czynną, krystalizuje się coraz bardziej lewicowy, marksistowski program. Powstaje więc Polska Partia Robotnicza, która pozwala miejscowym działaczom rozproszoną dotychczas działalność skierować w jeden nurt. Partia organizuje Gwardię Ludową do bezkompromisowej walki z okupantem.

Drugi czynnik to ci, którzy zostali powołani jeszcze do armii carskiej, a potem walczyli w szeregach Armii Czerwonej i brali udział w tworzeniu władzy radzieckiej. Opowiadali oni o wydarzeniach w Rosji, o walce mas pracujących o społeczne wyzwolenie, oddziaływali zwłaszcza na biedotę wiejską, na kumów i sąsiadów przeciwstawiając się propagandzie antyradzieckiej. Posiane przez nich ziarno nie padło na piasek, lecz na żyzną ziemię lubelską.

A dalej? Biedny chłop lubelski nie chce już więcej żyć z łaski dworu, nie darzy więc sympatią organizacji, w których stanowiska kierownicze zajmują ziemianie. Potęgujący się terror hitlerowski oraz tragedia Żydów wzbudzają chęć samoobrony, chęć walki — nic dziwnego, że program takiej walki wypracowany przez PPR trafia na podatny grunt. Chłopi udzielają też bezinteresownej pomocy zbiegłym z niewoli niemieckiej żołnierzom Armii Czerwonej. Od nich ludność wiejska dowiaduje się prawdy o Kraju Rad. Głośnym echem odbijają się na Lubelszczyźnie śmiałe akcje dywersyjno-sabotażowe, przeprowadzane za Bugiem przez partyzantów radzieckich.

Oczywiście nie wymieniłem wszystkich czynników, ale te, o których mówiłem w skondensowanej formie, chyba wyjaśniają zagadnienie.

— Naczelnym hasłem wysuniętym przez PPR była bezwzględna walka z okupantem. Realizacja tej koncepcji wymagała tworzenia oddziałów partyzanckich. Wyłaniał się więc problem kadry dowódczej, sprawa broni, zagadnienie dyspozycyjności oddziałów.

— Formowanie oddziału partyzanckiego poprzedza mozolna praca propagandowo-uświadamiająca. Jako pierwsi wstępują z zasady najbardziej uświadomieni. Tworzą oni tzw. grupy wypadowe czyli partyzanckie oddziały garnizonowe, złożone przede wszystkim z mieszkańców tej samej lub sąsiednich wiosek. W ich skład wchodzą także tzw. spaleni, którzy muszą ukrywać się przed okupantem, trzecia grupa to zbiegli z niewoli żołnierze Armii Radzieckiej. Na trzonie grup wypadowych powstają partyzanckie oddziały stałe zwane leśnymi. Oddziały GL dzieliły się na te dwa plony — grupy wypadowe i oddziały leśne (stałe).

Najwięcej kłopotu mieliśmy rzeczywiście z tworzeniem kadry dowódczej. Ci, którzy posiadali przeszkolenie wojskowe, zwłaszcza oficerowie i podoficerowie zawodowi, zostali już skaptowani przez inne ugrupowania, zresztą odpowiadające im politycznie. Na normalne szkolenie kadry nie było ani warunków ani czasu. To zmusiło nas do szkolenia własnej kadry w praktycznym działaniu. W ogniu walk wyrosło bardzo wielu zdolnych, odważnych pełnych inicjatywy dowódców, nie obarczonych starymi nawykami wojskowymi przedwojennej armii. Ale z konieczności na dowódców musieliśmy wyznaczać także szeregowych czy podoficerów rezerwy przedwrześniowej armii, chociaż takich nie było wielu. Sięgaliśmy też do oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej oraz zahartowanych w pracy konspiracyjnej działaczy postępowych.

Trudnym również do rozwiązania problemem była broń i amunicja. Ukryta w ziemi broń z okresu walk wrześniowych nie przedstawiała większej wartości — części drewniane przegniły, metalowe zardzewiały, amunicja zamokła. Pewną ilość broni, przede wszystkim krótkiej, można było dostać u chłopów. Zostawiło ją tam na przechowanie wielu oficerów i żołnierzy, mogli ją od czasu do czasu konserwować. Mając trochę broni można już było pokusić się o zdobycie dalszej na Niemcach. Szczególnie cenne były dla nas automaty, których przedwrześniowa armia polska wcale nie posiadała. Amunicję zdobywaliśmy głównie na wrogu, niekiedy mogliśmy ją nawet zakupić u szmuglerów. W końcowym etapie walk partyzanckich dużej pomocy udzielały nam przybyłe zza Bugu dobrze uzbrojone partyzanckie oddziały radzieckie. I w końcu znaczną ilość broni otrzymaliśmy ze zrzutów samolotów radzieckich. Ja z pierwszymi zrzutami zetknąłem się w październiku 1943 r. od chwili znalezienia się w sztabie GL. Tak dokładnie, pierwszy zrzut to 12 automatów, przeznaczonych zresztą dla pracowników wywiadu radzieckiego, którzy mieli się udać do Austrii i Niemiec. W ogóle akcją przyjmowania zrzutów kierował płk Kożen z Armii Radzieckiej, z pochodzenia Polak, i Wacław Rózga. Łączność przed zrzutami nawiązywali partyzanci radzieccy, którzy mieli znacznie lepsze środki łączności radiowej. Przejmowanie odbywało się bardzo często razem. Otrzymywaliśmy broń lekką — karabiny ręczne, automaty, granaty, amunicję, rusznice przeciwpancerne i bardzo cenne głównie dla dywersji materiały wybuchowe.

Mimo wszystko jednak nigdy nie posiadaliśmy broni w nadmiarze. A jej różnorodność — była broń produkcji polskiej, niemieckiej, radzieckiej i nawet jeszcze innej — sprawiała nam wiele kłopotów z uzupełnieniem amunicji. Dużo materiałów wybuchowych zdobywaliśmy dzięki rozbrajaniu przez naszych specjalistów niewypałów artyleryjskich, pocisków moździerzowych, a nawet bomb lotniczych. Prowadziliśmy nawet specjalny zwiad celem ustalenia, gdzie je można znaleźć. Posiadaliśmy także pewną ilość ciężkich karabinów maszynowych. Ale czasem walczyliśmy także przedmiotami, które do broni trudno zaliczyć, ale które w rękach partyzanta były groźną bronią, jak np. klucze do rozkręcania szyn.

A sprawa dyspozycyjności? Grupy wypadowe były kierowane przez dowództwa powiatowe GL, które z kolei podlegały dowództwom okręgowym, te zaś obwodowemu. Natomiast oddziały leśne otrzymywały dyrektywy od dowództwa obwodu, na północy zaś od dowództw okręgu i obwodu. Wyraźnie podkreślam: dyrektywy, gdyż z braku technicznych środków łączności musieliśmy stosować kontakty osobiste oraz posługiwać się gońcami, kurierami i punktami kontaktowymi.

Kontakty osobiste były dwojakiego rodzaju. Pierwszy polegał na wyjeździe członka sztabu dowództwa do oddziału leśnego, drugi na przyjeździe dowódcy po informacje do sztabu. Ten sposób nawiązywania łączności niewątpliwie utrudniał dowodzenie na co dzień, a dowódcy oddziałów musieli wykazywać się sporą dozą inicjatywy. Nie znaczy to wcale, że łączności nie było. Sztab prawie zawsze był poinformowany o miejscu pobytu partyzanckiego oddziału leśnego, a także o jego działaniach dywersyjno-sabotażowych lub przeprowadzonych akcjach. W wielu wypadkach oddziały otrzymywały pisemne rozkazy, dostarczane im przez łączników lub za pośrednictwem punktów kontaktowych.

— Gdzie najczęściej mieścił się sztab? Czy na okresy zimowe budowano w lasach jakieś bunkry?

— Sztab obwodu pracował w Trzydniku, Rzeczycy, w lasach lipskich, czasem w Studziance. W mieszkaniach Szymańskich, Topolskich, u Stanisława Siewierskiego, Walentego Tompolskiego, Żaka, w Studziance u Andrzeja Kozyry i Marcinkowskiego. Wiem, że w zimie z 1942 na 1943 r. planowano budowę bunkrów, nawet zaczęto zwozić materiały na ich budowę. Ale Niemcy zorientowali się w czym rzecz i celem uniknięcia dekonspiracji budowy zaniechano. Kwaterowaliśmy więc w mieszkaniach, głównie w lasach, w domach samotnych lub stojących w małych zgrupowaniach.

— Czy Pan Generał brał udział w rozmowach, przeprowadzanych z dowódcami różnych szczebli innych organizacji? Jeżeli tak, to jak one wyglądały?

Należałem do plonu — jeżeli tak można powiedzieć — wojskowego a nie politycznego i byłem obecny tylko przy kilku rozmowach z niektórymi dowódcami. Tak np. w lasach gościeradowskich z „Zębem". Była to rozmowa sprowokowana przez niego, ale chcieliśmy się dogadać więc poszliśmy. Dopiero później zorientowaliśmy się, że chcieli nas zlikwidować. Ale oni też zorientowali się, że w pobliżu są nasze silne oddziały i że wprawdzie nas kilku mogą zlikwidować, ale sami z życiem nie ujdą. Rozmowa obracała się wokół trzech zagadnień. Pierwsze — pytali, jak my traktujemy żołnierzy radzieckich, zbiegłych z niewoli niemieckiej. Odpowiedzieliśmy, że tak samo, jak żołnierzy angielskich, francuskich czy innych. Drugie — czy wiemy, że po naszych akcjach Niemcy stosują represje wobec ludności polskiej i że gdyby tych akcji nie było, nie było by represji. Odpowiedzieliśmy, że już długo przed naszą pierwszą akcją Niemcy mieli obozy koncentracyjne, stosowali wysiedlania, wyroki śmierci i inne represje. Uważamy, że w interesie całego narodu akcji naszych przerwać nie można. Hitlerowcy i tak będą stosować wobec ludności polskiej coraz większe represje, bo przecież dążą do eksterminacji całego naszego narodu i mimo koniecznych ofiar walka jest najbardziej skuteczną formą obrony. Trzecie — chodziło o uzgodnienie haseł rozpoznawczych na wypadek spotkania się naszych oddziałów. Wtedy jeszcze nie znaliśmy prawdziwego oblicza NSZ i wymieniliśmy pewną ilość haseł. To właśnie wykorzystali w sierpniu 1943 r. pod Borowem gdzie oddział NSZ podstępnie wymordował oddział partyzancki GL im. J. Kilińskiego. Jak wiemy był to pierwszy masowy mord bratobójczy, który wywołał olbrzymie oburzenie społeczeństwa, a także większości prasy konspiracyjnej różnych ugrupowań politycznych.

— Jak zdaniem Pana Generała układały się stosunki z innymi organizacjami podziemnymi? Zacznijmy może od Armii Krajowej.

Zupełne podporządkowanie się Armii Krajowej rządowi londyńskiemu, obsadzenie w tej organizacji ogniw kierowniczych działaczami prawicowymi, reakcyjnymi, program polityczny — wywarły zasadniczy wpływ na wzajemne stosunki GL—AK. Wprawdzie AK oficjalnie głosiła, że jest organizacją wojskową apolityczną, ale to nie była prawda. My zaś odrzuciliśmy przedwojenny wzór rzekomo apolitycznego wojska i wysunęliśmy zrozumiały dla wszystkich program — wizję Polski Ludowej. Nasz organ polityczny, Polska Partia Robotnicza, znajdował się w kraju, wywodził się bezpośrednio z mas ludowych. Natomiast AK w kraju własnego organu politycznego nie posiadała, a całą swoją działalność opierała na dyrektywach i zaleceniach z dalekiego Londynu. Naszym głównym celem była bezwzględna walka z okupantem, zadaniem naczelnym AK dopiero przygotowywanie do powstania w nieokreślonym bliżej czasie. My widzieliśmy jednego wroga — hitlerowskie Niemcy, u AK wciąż utrzymywała się teoria „dwóch wrogów". Ta teoria zresztą w znacznym stopniu wiązała ręce rwącym się do walki prostym żołnierzom AK. Ale mimo to ci żołnierze przygotowywali wiele śmiałych i brawurowych akcji. Ich czołowym przywódcom, czekającym na wykrwawienie się „dwóch wrogów", te akcje mogły się nie podobać, ale nie byli ich w stanie całkowicie zahamować. Powstanie warszawskie mimo, że rozsławiło Polskę na całym świecie, miało posłużyć reakcyjnemu rządowi londyńskiemu do osiągnięcia własnych, wąskich celów klasowych.

Gen. Michał Rola-Żymierski (w jasnym płaszczu) w otoczeniu członków sztabu Obwodu Lubelskiego AL i przedstawicieli KRN. Drugi od lewej Jan Wyderkowski

Jednak ogólnie wziąwszy w czasie okupacji stosunki między GL a AK były poprawne, jeżeli zaś powstawały krótkie spięcia, były one przypadkowe. Okupant przebywał przecież na polskiej ziemi i nie stać nas było na walkę bratobójczą. Ani PPR ani GL nie przeszkadzały w istnieniu na terenie Lubelszczyzny innych ugrupowań politycznych, ale równocześnie żadnej z istniejących organizacji nie mogliśmy przyznać monopolu na walkę z okupantem. Żadne sztuczne odgradzanie się od nas nie na wiele się zdało. Mimo braku pełnego porozumienia każda skierowana przeciwko hitlerowcom akcja AK była zjawiskiem, świadczącym o pewnej współpracy w realizacji tego samego celu — bić Niemca.

Czy przy istnieniu innych stosunków, opierających się na pełnym zrozumieniu i porozumieniu, nasza działalność okupacyjna mogła być bardziej odczuwalna przez Niemców? Bez wątpienia tak. Przykładem może być walka partyzantów radzieckich, prowadzona z niemieckim okupantem za Bugiem.

(Dokończenie w następnym numerze)

Rozmawiali —
Jerzy Dostatni
Zygmunt Mańkowski

Chanczew żył poezją

TADEUSZ ROSS

PRZYJAŹŃ nasza zaczęła się właściwie w momencie, gdy urzeczony pięknem jego cyklu „Żyję", wydrukowanego w 1960 r. w listopadowym numerze czasopisma „Płomień", napisałem w rok później w bułgarskim, dziś już nie istniejącym czasopiśmie „Nowiny Literackie" coś w rodzaju większej notatki na temat tej przecudnej wiązanki dziewięciu wierszy, będących smutną i głęboko wzruszającą relacją pobytu poety w szpitalu.

Odtąd spotykałem się z Weselinem Chanczewem stale w czasie moich corocznych pobytów w Bułgarii. Aż wreszcie ta radosna wiadomość: Wesko (bo tak go już wtedy nazywałem) przyjeżdża do Polski na co najmniej trzyletni pobyt, ma być radcą kulturalnym przy ambasadzie bułgarskiej w Warszawie.

Gdy odwiedziłem go po raz pierwszy w mieszkaniu przy ul. Polnej, podarował mi „kukera", lalkę bułgarską z drzewa, o twarzy w czarnocerowej masce. „Mój projekt — powiedział — i, musisz wiedzieć, daję te lalki tylko największym swoim przyjaciołom".

Kochał Verlaine'a. W Alejach Ujazdowskich w „Kosmosie" wykupił wszystkie tomiki poety. O jego miłości do Préverta wiedzą wszyscy. Przecież przetłumaczył i wydał w Bułgarii w Bibliotece Współczesnych Poetów wiele jego wierszy. Mówiliśmy o Prévercie często, gdyż i mnie ten poeta jest szczególnie bliski. Przetłumaczyliśmy wiele tych samych utworów Préverta i, gdy Chanczew poznał już w pewnym stopniu polski, mogliśmy porównywać nasze przekłady.

Od najmłodszych lat Chanczew pozostawał pod wpływem Villona. Paryż był jego żywiołem. Mówi o tym jego cykl paryskich wierszy z urzekającą „Katarynką" („Jak pewna Katarynka o deszczu paryskim śpiewała"). W cyklu „Żyję" w długim wierszu „Godzina odwiedzin" wspomina Chanczew o swoim paryskim przyjacielu, Louis Guillaume, nauczycielu historii. Opisuje drogę nauczyciela ze szkoły do domu. I widzimy Paryż. „Apteka. Włóczęga na ławce. Knajpa... Inwalida z Algieru. Witryna jubilera. Ślepa wróżbiarka przy métro do Vincennes". Niestety — pisze Chanczew — Louis Guillaume „nie może poprawić jej (tej drogi — przypisek mój) usterek, jak poprawia błędy w zeszycie od historii".

Jego biografia? Kilka słów zaledwie. Był synem lekarza. Urodził się w Starej Zagorze 4 kwietnia 1919 roku, ukończył w Sofii prawo. Współpracował z gazetą „Głos Literacki". Brał udział w wojnie ojczyźnianej 1944—45. Był redaktorem w czasopiśmie „Republika" i członkiem kolegiów redaktorskich czasopism „Trybuna Młodzieży" i „Młodzież". Pracował jako kierownik działu literatury i sztuki w sofijskim radio i jako sekretarz artystyczny w Operze Narodowej oraz dramaturg Teatru Satyrycznego w Sofii. Prowadził dział poezji w czasopiśmie „Płomień". Po około półtorarocznym pobycie w Polsce wyjechał jako dyplomata do Paryża, który znał ze swych poprzednich pobytów. Wydał książki: „Hiszpania na krzyżu" (1937), „Wiersze zebrane" (1948), „Wiersze w ładowniey" (1954—1957), „Pomyślny wiatr" (1958), „Liryka" (1960, wznowiona w 1961), „Róże wiatrów" (1960) i „Abyś pozostał" (1965). Jego talent satyryka ujawnił się w tomikach: „Śmieszny pantheon" (1957) oraz „Drapieżny słowik" (1965). Pisał wiersze dla dzieci oraz scenariusze filmowe. Był dwukrotnie odznaczony Nagrodą Dymitrowską, najwyższym odznaczeniem pisarza bułgarskiego.

Weselin Chanczew był i pozostanie najwybitniejszym poetą bułgarskim swego pokolenia. Ale ocenę jego twórczości pozostawiam innym. Dla mnie — jego przyjaciela — z świeża jest rana, abym potrafił pisać krytycznie o jego poezji.

WESELIN CHANCZEW

Modlitwa do rewolucji

Rewolucjo,
dziewico w czerwonej aureoli,
boską rodzico moja,
błagam cię —
nie starzej się
we mnie
ani w moich bliźnich.
Ty,
któraś łaskawie złożyła
na czole moim
cierniowy wieniec zmarszczek,
ochroń myśl moją od nich,
pozwól
abym był tak żywy
jak żywi są twoi umarli,
naucz mnie ażebym słyszał
ich święte milczenie
w potężnych surmach
zwycięstw,
daj mi ich wołanie
pośród ciszy
mych przegranych bitew.
Zlituj się,
nie zdejmuj z mojego ramienia
ciężkiego krzyża
swojego sztandaru.
Padnę bez niego.
Powiedz mi,
jak mam go nieść ku górze
z wielką miłością,
tak abym nie powalił tych,
którzy idą za nim,
spal nim moje ręce,
jeśli one go przekształcą
w piękną szatę dla mych bliźnich,
oślep mnie,
jeśli ujrzę w jego zorzach
swoje zachody.
Nie zostawiaj mnie samego,
kiedy wszyscy są ze mną,
okutego
w wolność,
padłego od mocy.
Rewolucjo,
matko,
błagam cię —
nie starzej się we mnie
ani w moich bliźnich.
Amen.

Tłumaczył z bułgarskiego
Tadeusz Ross

Publikowane niżej opowiadanie Józefa Czechowicza nosiło pierwotnie tytuł **SYNOWSKIE PRAWO**, zarzucony następnie przez autora. Na rękopisie utworu znajduje się jeszcze inna interesująca informacja, mianowicie uwaga: klasa VII. Cóż uwaga ta oznacza?

Autor **KAMIENIA w 1933 r.** zerwał ostatecznie z pracą w szkole, ale poprzez liczne zajęcia w wydawnictwach Związku Nauczycielstwa Polskiego związany był z pedagogiką i nauczaniem. Oprócz redagowania pism szkolnych i nauczycielskich Czechowicz brał również udział przy opracowywaniu rozmaitych wypisów szkolnych. Razem z R. Kubskim i M. Kotarbińskim wydał on **WYPISY POLSKIE DLA V KL. SZKÓŁ POWSZECHNYCH 3 i 2 STOPNIA** (Lwów 1937, Ossolineum), a ten zespół oraz F. A. Ossendowski opracowali **WYPISY POLSKIE DLA KL. VI SZKÓŁ POWSZECHNYCH 3 STOPNIA** (Lwów 1938, Ossolineum).

Są informacje (zachowane umowy wydawnicze z 1937 r.), że Czechowicz wraz z innymi autorami przygotowywał kilka innych podręczników i wypisów dla różnych klas, ale przedwojenne źródła bibliograficzne ich nie notują. Albo więc książki te nie zostały ukończone, albo nie zdążyły się do wybuchu wojny ukazać.

Opowiadanie zatytułowane **W MIASTECZKU NAD WODĄ** przeznaczone więc było do wypisów na klasę siódmą. Czy w ich przygotowaniu uczestniczył także Czechowicz? Trudno powiedzieć.

Opowiadanie Czechowicza godne jest uwagi nie tyle dla walorów artystycznych, ile ze względu na jego podkład autobiograficzny. Trzeba bowiem pamiętać, że starszy brat poety, Stanisław, był w Legionach i uczestniczył w walkach na Wołyniu. W opowiadaniu

znajdują się pogłosy tego faktu. Zresztą większość opowiadań Czechowicza żywi się wspomnieniami wyniesionymi z wojny i pod tym względem **W MIASTECZKU NAD WODĄ** stanowi tekst całkiem typowy.

Autograf jego zachował się pośród innych materiałów ocalonych z warszawskiego mieszkania poety przez kuzynkę Czechowicza i jedną z najbliższych mu osób, Bronisławę Kołodyńską-Mossego. Niestety — jej wizyta w mieszkaniu zabitego poety poprzedzona była innymi. Stąd Kołodyńska zbierała tylko resztki. Do niej też należało publikowane obok zdjęcie (obecnie znajduje się ono w posiadaniu jej rodziny) Czechowicza i jego matki, Muni jak ją zwykle nazywał. Wagę tą fotografii ma wyjątkową. Jest to bowiem pierwsza fotografia Małgorzaty Czechowiczowej, jaka pojawiła się w druku.

W MIASTECZKU NAD WODĄ

JÓZEF CZECHOWICZ

I

JEZIORO, oprócz kilku zimowych miesięcy, gdy okrywała je lodowa powieka, patrzyło w niebo. Błękit wiosenny, bladość upalnego firmamentu, stada chmur październikowych, przeglądały się w toni dzień po dniu. Fale z białymi grzebieniami wolno szły do brzegu i mąciły obraz nieba, i zostawiały na wilgotnym piasku drobne kamuszki, zbutwiałe kolanka zeszłorocznych trzcin, muszle, a niekiedy sczerniały od starości kawałek zgubionego wiosła.

Miasteczko nad wodą było nieduże, ot, cztery uliczki z rynkiem w cieniu kościoła. Za dnia jednak kipiało turkotem wozów, stukaniem młotów i śpiewaniem dziewczyn naprawiających sieci.

Szmer wód, oddech jeziora, słyszało się dopiero nocą. Wówczas przybór fal poruszał owe odłamki, okruchy, źdźbła leżące w zrudziałej pianie u brzegu i to było jak mocne westchnienia niewidzialnego olbrzyma.

Droga, wijąca się tuż w toni, podcinała miasteczko białożółtą kreską. Biegła z daleka, od wielkiej szosy, a kierowała się ku ciemnym borom, które można było zobaczyć wyszedłszy na pagórki za cegielnią.

W roku wojny cegielnia opustoszała. Wokół niedymiących kominów świergotały ptaki, a we wnękach wygasłego pieca gnieździły się zdziczałe króliki, które przywędrowały tu z jakiejś opuszczonej zagrody.

Taki to był czas, czas pustki, czas nieoranych pól, czas dróg zatłoczonych uciekinierami i nocy czerwonych od łuny. Może dlatego w starej cegielni prócz królików zamieszkał jeszcze ktoś. Chłopak to krępy, obdarty, z wesoło zadartym noskiem i parą orzechowych oczu w twarzy bardzo ciemnej od opalenizny, choć to dopiero kwiecień, dopiero Wielkanoc.

Właśnie słońce zachodzi za wodą wielką i gładką, a on idzie ku swej kryjówce, nie sam, z towarzyszem, o którym na pierwszy rzut oka da się powiedzieć, że jest znacznie czystszy. Ich długie cienie snują się wzdłuż jeszcze dłuższych, wieczornych cieniów drzew, co leżąc w poprzek drogi wyglądają jak szczeble drabiny.

— Ale masz pałac, no no — żartuje ten czystszy.

— Pałac nie pałac, ale dach nad głową taki sam dobry, jak każdy inny — odpowiada mieszkaniec pustkowia.

— I nie boisz się tak sam, po nocy? Przyznaj się.

— Czego miałbym się bać? Może strachów? Za duży jestem na to. Już zacząłem czternasty rok, a półtora roku wędruję po świecie. I żebyś wiedział, że w pałacu także sypiałem, w prawdziwym! Tyle tylko, że był zrujnowany przez Rusków.

— I nigdy cię nic nie nastraszyło?

— Jakbym był takim strachajłą, to bym został gdzie u chłopa na robocie i za piecem bym siedział. Ale ja wolę biedną swobodę niż niewolę z sadłem. Chcę, to jutro wyruszę dalej. Chcę, to posiedzę tu jeszcze tydzień. Jak wyruszę, to znów się zaczną wędrówki po zielonych polach, noclegi w sianie, albo z żołnierzami w stodole. Z żołnierzami to dobrze. Oni mają czekoladę i bułki, a u was co? Całe miasteczko kiepski chleb z otrębami jada i to jeszcze na kwity, na kartki...

— Wczoraj pół dnia stałem za kolejką przed piekarnią. A kiedy dosunąłem się do drzwi, wyszedł piekarz i powiedział, że już chleba zabrakło.

— Widzisz. I co ci po tym? Dawno ci już mówiłem, chodź ze mną. Świat jest szeroki i tyle na nim ciekawych rzeczy! Przecie ja, Stachu, dobrze ci życzę...

Bramy w płocie otaczającym cegielnię strzegł zardzewiały rygiel i kłódka olbrzymich rozmiarów, jeszcze bardziej ordzewiała. Płot za to przeświytywał czerwonawym niebem wieczoru, bo desek brakowało w nim więcej niż połowę. Mieszkańcy najbliższej uliczki gotowali strawę przy pomocy tego darmowego opału, ile razy zbrakło pieniędzy na węgiel i drzewo lub też ilekroć odmówiono im kwitów na zakup tych dwojga.

Chłopak-włóczęga wszedł na dziedziniec zarosły pokrzywami i pełen gruzu, a poruszał się z całą sprawnością bywalca dobrze znającego te kąty. Stach usiłował go naśladować, lecz kroki jego nie były tak pewne. Potykał się coś ze trzy razy na rumowisku, ze dwa razy poparzył w gaszczu pokrzyw, a nawet boleśnie otarł sobie nogę o cegłę.

Gdy stanęli przy wnęce pieca zamieszkałej przez Wacka, Stach zdziwił się:

— Przecież tu pusto?

— No, pusto. To co?

— Myślałem, że masz jakieś rzeczy.

— A po co mi to? Ubranie i półkożuszek mam na sobie. A kto mi da jeść, to da i miskę, i łyżkę.

— No tak, Wacku, tak — Stach nie wiedział jak wypowiedzieć swoje myśli. Ale włóczęga odgadywał je:

— Ty, maminsynku, chciałbyś zapytać, gdzie łóżeczko i w której komodzie leży czysta koszula na niedzielę? Prawda?

— Właściwie...

— Koszulę się pierze. Samemu się pierze. U rzeki.

— Robinson także sam to robił!

— O, właśnie. Trafiłeś.

— Wiesz, Wacku, pójdę z tobą na włóczęgę, ale...

— Oho, już jest i „ale"...

— Ale tylko wtedy, jeśli Józek z nami pójdzie.

— No to zrobione, bo Józek na pewno pójdzie. Umówiłem się z nim i zajrzy tu do mnie jak się ściemni. To fajny kamrat i oblatany po śmietnikach, nie tak jak ty, boża krówko...

— Józek już dawno mi obiecał, że razem wyruszymy do Gdańska, a stamtąd do Ameryki. Mam wujka w Brazylii... I pewno, nim dojedziemy, będziemy mieli niezwykłe przygody.

— E, bracie, przygody to i u nas możesz mieć takie, że żywy nie wyjdziesz!

— Ale ja bym chciał zawsze zwyciężać w różnych strasznych okolicznościach...

— Stachu, ile ty masz lat?

— Dwanaście.

— Powiem ci tylko tyle: za dużo czytasz o Indianach i za często chodzisz do iluzjonu...

Stach zgnębiony umilkł. Jasne było, że towarzysz traktuje go nieco zbyt protekcjonalnie i z wysoka. Ostatecznie, każdy człowiek może mieć przygody, z których wyjdzie cało. Czyż to niemożliwe? Żeby wywyższyć się nieco w oczach Wacka, przyszły podróżnik po puszczach Brazylii wypalił:

— Mam nawet kompas! I mapkę sztabową okolic Radomia!

— Nosisz to ze sobą?

— Naturalnie.

— Miłe dziecko z ciebie... A czy wiesz, co się z nami stanie, jeśli zatrzyma nas po drodze patrol niemiecki? Jak myślisz, jakie podejrzenia miewają żandarmi, gdy znajdą u włóczęgi wojskową mapę?

Stach opuścił głowę na piersi, po czym wyjął z kieszonki swe skarby. Wkrótce kompas — prawdę powiedziawszy, zepsuty — legł wśród pokrzyw, a wiatr poniósł drobne strzępki papieru aż na brzeg jeziora.

— Ot, to mi się w tobie podoba. Wszystko rozumiesz w lot. Cała bieda, że za bardzo na ciebie w domu chuchali...

Czerwone niebo mroczniało coraz silniej. Ciemność napływała od wschodu, zarzucając na komin cegielni rąbek swego płaszcza. Szła na wysokości bezgłośnie, jak niespodziewany atak i zdobywała od razu dwie pozycje: zenit i toń.

— Niedługo opuścimy to miasteczko — podjął Wacek, — trzeba dokładnie obgadać z Józkiem, co i jak.

II

Tego wieczoru jezioro, jak zwykle, patrzyło w niebo i jak zwykle fale czesały się białymi grzebieniami wzdychając u brzegu. Woda obmywała kamienie drogi, bo wiosną zalewy sięgały aż do poziomu jezdni.

Józek stał nad pienistą linią, zarysowaną na mokrym piasku przez przybór fali. Zginał się raz po raz, podnosił z ziemi obtoczone przez nurt kamyczki, aby puścić je na jezioro zręcznym rzutem na płask. Jeśli rzut się udał, kamyczek skakał po wodzie pięcio- albo sześciokrotnie, odbijając się jak piłka. Biała, lniana czupryna rozczochrała mu się od tego pochylania i od zamachów. Pod czupryną w głowie Józkowej, nic się nie działo. Ot, czekał na matkę, która wraz z siostrą poszła na stację kolejową przebierać ziemniaki dla wojska. Józek czekał i rzucał kamyki zapamiętale, ostro, całkowicie pochłonięty tą czynnością.

— Jak się masz, żrebaczku — usłyszał nagle za sobą.

Odwrócił się i oczy jego, jeszcze pełne czerwonawego blasku zorzy i lśnienia wody, objęły postać młodą, zmienioną, lecz dobrze znaną!

— Jaśko! — krzyknął chłopak i rzucił się w ramiona przybysza. Zachrzęściły żelaza i rzemienie szarego munduru, przekrzywiła się w braterskim uścisku maciejówka z dumnym orzełkiem.

— Jaśku, urlop ci dali, czy...

— Urlop. Byłem w szpitalu jakiś czas i ot, na dwa dni wpadłem do domu.

— Ranny byłeś?

— Nie, chorowałem jak cywil. Po prostu chorowałem. Ale już po wszystkim.

Bracia patrzyli na siebie. Osiemnastoletniego legionistę Pierwszej Brygady rozczulał spokój rodzinnego miasteczka, szept jeziora i to, że brat rośnie, a włosy ma jeszcze jaśniejsze niż dawniej. Józek znów wzruszony był widokiem starszego brata, który był dla niego kimś najważniejszym, najlepszym, najbliższym. Zdawało mu się, że matka go zupełnie nie rozumie, a siostra — ot, dziewczyna, swoimi dziewczyńskimi sprawami zajęta.

— Gdzie mama? — zapytał żołnierz.

— Na stacji. Ziemniaki przebiera.

— To pewno nieprędko wróci?

— Czasem to i koło jedenastej z wieczora, czasem wcześniej.

— A Zośka gdzie?

— Z matką.

— Tylko ty, żrebaczku, leniuchujesz, kamyczki po wodzie puszczasz? No, wezmę ja się do ciebie, nie bój się.

Rozmawiając tak doszli do chaty i tam na wysokim progu usiedli obok kota, który popatrywał za śmigającymi przez sad ptakami.

— Burasek, kizia — uśmiechnął się legionista. Ręką stwardniałą od karabina pogładził puszyste futerko starego towarzysza zabaw. Ogarnęła go atmosfera dzieciństwa i domu. Zresztą, czy to tak dawno przestał być dzieckiem?

Józek siedział piastując karabin brata i rozważał w myśli, czy powiedzieć mu o zamierzonej ucieczce z domu. Przez chwilę milczeli obaj.

— Wiesz — zaczął Jaśko — chciałbym z tobą pomówić jak z dorosłym.

Biała czupryna uniosła się ku górze, siwe oczy spojrzały w twarz żołnierza.

— Jestem w Legionach, służę ojczyźnie, ale chwilami napadają mnie różne wątpliwości. Z kimże o tym pomówić, jeśli nie z bratem, choćby tym bratem był żrebaczek...

— Powiedziałeś, że to poważna rozmowa, a teraz znowu ten żrebaczek.

— Zawsze cię tak w myśli nazywam. Nieraz myślę w okopach o domu. Wyobrażam sobie, jak Zośka się stroi, jak ty pływasz, jak matka gotuje, albo pierze, jak do kościoła idziecie w niedzielę całą trójką...

— Nic w tym nie widzę ważnego — mruknął Józek.

— Kiedy się leży w okopie i widzi gwiazdy, a równocześnie kule świszczą i kopią w ziemię i ścinają gałązki, to wszystkie sprawy domowe wydają się bajką wyczytaną z pięknej książki.

— Kiedy ostatni raz byłeś w boju?

— Na Reducie Piłsudskiego. Opowiem o tych wołyńskich bitwach później, jak mama wróci. A tobie, ty jesteś przecie mężczyzną, choć jeszcze małym, tobie zwierzę się z moich wątpliwości... Widzisz, niekiedy mi się wydaje, że źle zrobiłem uciekając z domu do Legionów. Ojczyzna — każdy rozumie, wielka rzecz. Ale czy miałem prawo opuścić matkę w najcięższej chwili jej życia, gdy ojciec umierał? Została w jednym dniu bez męża i bez najstarszego syna. Czy dobrze się służy ojczyźnie, kiepsko służąc swej matce?

— Jaśku, ja to trochę rozumiem — szepnął Józek — ale mama nie ma do ciebie żalu.

— Tu nie chodzi o żal. Istnieją prawa i obowiązki. Jest prawo rodziców, ale jest i prawo dzieci. Czy ty wiesz, że kiedy miałeś dwa lata, mama uratowała cię z pożaru i że ta szrama, którą ona nosi na czole, to znak po płonącej belce?

— Wiem, tylko jakoś zapominam o tym...

Zamyślili się obaj. Serce „żrebaczka" niepodległe nikomu i niczemu, nagle ścisnęło się boleśnie. Brat mówi prawdę: są prawa i obowiązki, są długi, których spłacić niepodobna. Można hasać swobodnie i nie myśleć o niczym, póki się nie zrozumie, co to matka, co ojczyzna, co prawo. A kiedy się zrozumie, przestaje się być „żrebaczkiem", bo to jest chwila narodzin człowieka.

— Nas jest dwóch — rzekł Józek, westchnąwszy ciężko. — Ty będziesz służył ojczyźnie, a ja — matce.

— Wzdychasz, żrebaczku, jak miech kowalski...

— Nie nazywaj mnie tak.

— Dobrze, braciszku, ale powiedz mi, co znaczyło to westchnienie?

Chłopiec postawił karabin opierając go o ścianę. A właśnie mrok obiał niebiosa i wodę, a w ciemności łatwiej mówić o swoich planach.

— Jest tu jeden chłopak, z uciekinierów. Bez ojca i matki... Ach, rozumiem, teraz rozumiem, dlaczego on taki — bo bez ojca i matki — myślał głośno Józek. — Ten chłopak i ja, i Stach, wiesz, ten od pani nauczycielki, mieliśmy dostać się do Gdańska, a potem do Ameryki.

— Ho, ho!

— Ty myślisz, że mnie chodzi o jakieś tam przygody, czy inne dzieciństwa? Nie. Mnie tu nudno, Jaśku. Zawsze tylko to miasteczko i jezioro, i ten chleb z otrębami, albo przemarzłe ziemniaki. I nic się tu nie dzieje! Pływam po jeziorze sam, bo inni chłopcy nudzą mnie także. U nich nic tylko organki, karty, papierosy. A ja, ja nie wiem czego chcę, ale ja tak żyć nie mogę! Nie mogę!

Legionista gładził teraz jaśniejącą w mroku czuprynę.

— Uspokój się. Dorastasz i dlatego ci trochę ciężko, ale to minie. Myślę, że wstydziłbyś się sam siebie, gdybyś uciekł z domu po inne życie, a matce zostawił chleb z otrębami, przemarzłe ziemniaki i w dodatku samotność.

— Troje nas, nie ja jeden.

— Ale ja jestem żołnierzem. Może wrócę do was z krzyżem, a może za dwa dni kula mnie zetnie jak badyl...

— Matka ma Zośkę.

— Zośka wyjdzie za mąż, pójdzie do obcych. Matce zostanie samotność. A przecie do starości już jej niedaleko.

— Ja wiem, Jaśku, ja zostanę. Tak tylko mówię o Zośce, bo mi żal tego Gdańska i Ameryki.

— Nie żałuj. Z cudzego kraju zawsze się tęskni do rodzinnych stron. A zresztą, nie wiem nawet czy dojechalibyście do Ameryki. Teraz wojna. Łodzie podwodne zatapiają okręty...

Jaśko nagle urwał i wstał, ujrzawszy za płotem dwie kobiece postacie.

III

Jezioro spoglądało ku niebu, na którym żarzył się duży, miedziany księżyc. Stał on za wzgórzami cegielni, sięgając kołem gruntu, tak, że z miasteczka można było widzieć na jego tle ciemną sylwetkę chłopca. Stawiając wielkie kroki zbliżał się do dziury w płocie, gdzie las pokrzyw pokłonem go witał. Przy ciemnym księżycu pustkowie straszyło ciszą niemą i głuchą.

— Józek! — odezwał się głos zabrzmiały lękiem — Józek, to ty?

— Przecież widzisz, że to ja we własnej osobie! Wyłaź z cienia, bo nie wiem, gdzie cię szukać.

Z mroku olbrzymiego pieca wysunęła się drobna figurka Stacha.

— Jak się masz, podaj grabę.

— Dobrze, żeś przyszedł. Tak tu straszno...

— A co, sam jesteś? Gdzie Wacek?

— Wacek poszedł od nas — objaśniał Stach. — Czekał na ciebie długo. Gadaliśmy o wyprawie. A potem powiedział, że kiedy ty nie przyszedłeś na umówioną porę, to widocznie z wyprawy nici... I poszedł.

— Ty, naturalnie, nie odważyłeś się ruszyć z nim razem.

— Nie byłem przygotowany na to, że to dziś, zaraz.

— On też nie był przygotowany.

— Ach, on! On to wolny ptak! A potem... zostałem sam... trochę się bałem...

— Wracamy do miasteczka. Późno jest. Będziesz miał w domu za swoje, że się po nocy włóczysz.

— Wszystko mi jedno. I tak często na mnie krzyczą. Niewola z sadłem — użył wyrażenia wackowego. — Ale dlaczego ty nie przyszedłeś? Co? Dlaczego?

— Wacek zgadł. Z wyprawy — nici.

— Może jutro go dogonimy?

— Nie. Ja tu zostanę.

Było coś takiego w głosie białogłowego Józka, że mały, a niedoszły Robinson nie pytał nawet, dlaczego brazylijskie plany rozchwiały się jak dym. Przez czas dłuższy szli w milczeniu. Naraz Stach przystanął i wykrzyknął:

— To po co ja podarłem mapę?

Ale ten okrzyk nie wywołał u Józka współczucia. O mapie nic mu nie było wiadomo, a poza tym głowę miał nabitą ważniejszymi sprawami. Senny i zmęczony szedł, a chwilami wydawało mu się, że ciągle jeszcze rozmawia z bratem. Ocknął się nieco i oprzytomniał przed bramą szkoły.

— Dobranoc, Józiu... I nie bądź taki jakiś, bo mi się wydaje, że gniewasz się na mnie...

— Kto by się tam na ciebie gniewał! Dobranoc, mały.

W domu Józka wszyscy już spali. Sprawował się więc cicho i nie zapalał światła. Zresztą ciemnoczerwony księżyc świecił w samo okno sponad strzelistych wież kościoła. W smudze stłumionego blasku zwieszała się sucha, z grubymi żyłami dłoń matki. Chłopiec rozbierał się szybko i spoglądał raz po raz na tę dłoń, jakby ją widział po raz pierwszy.

Wreszcie położył się na łóżku obok brata, pachnącego jakoś obco, wojskowym mydłem i grubą bielizną.

— Jaśku, śpisz? — szepnął białogłowy, ale odpowiedziało mu milczenie, tym głębsze, że wpadały w nie ciche oddechy śpiących. Milczenie to pochłonęło i Józka.

Nad domkiem w sadzie, nad drogą toczącą się tuż w toni i nad wałującym się od wiosennego wiatru obszarem wód stała noc. Pod jej płaszczem jezioro wolno szło do brzegów mącąc blask księżyca i wyrzucając na mokry piach drobne kamyczki, przegniłe szczątki desek i połamaną, zeszłoroczną trzcinę.

Archeologia w ośrodku lubelskim

JÓZEF KOSTRZEWSKI

ZIEMIE między Wisłą a Bugiem, obejmujące głównie Lubelszczyznę, należą do najbogatszych lecz, niestety, zbyt słabo dotąd zbadanych obszarów archeologicznych Polski. Pierwsze amatorskie jeszcze badania w Ziemi Lubelskiej pochodzą z końca XIX, a głównie z początku XX wieku. Działali tu wówczas Władysław Olechowicz, Henryk Wiercieński, ks. Adam Chotyński, Leon Dudrewicz, a z Warszawy dojeżdżał Marian Wawrzeniecki.

Na okres 1920—1928 przypada działalność Państwowego Konserwatora Zabytków Archeologicznych na okręg lubelski, doc. Michała Drewki, który jednak wobec niemożliwości uzyskania lokalu służbowego w Lublinie urzędował w Warszawie i tylko latem prowadził badania terenowe. Ich wyniki są jednak dość obfite, obejmują liczne zabytki z epoki kamienia i z młodszych okresów pradziejów, znalezione na wydmach w Kręznicy Jarej, Zemborzycach i Prawiedlinkach w pow. lubelskim, w Głodnie w pow. puławskim oraz w Irenie i Zakrkowie w pow. krasnickim. Rozkopano także wówczas wielkie cmentarzysko kultury łużyckiej w Kośmie w pow. krasnickim, obejmujące ponad 400 grobów, oraz zbadano pewną liczbę mogił na wielkim cmentarzysku kurhanowym w Lipsku w pow. zamojskim. Dalsze badania na terenie województwa prowadzili przed II wojną światową S. Krukowski, J. Dylik i Zofia Podkowińska, która odkryła m. in. cmentarzyska trzech kultur neolitycznych w Strzyżowie w pow. hrubieszowskim. Wreszcie wspomnieć należy o zbadaniu przez prof. Władysława Antoniewicza kurhanu kultury ceramiki sznurowej w Sąsiadce w pow. zamojskim, o kilkuletnich pracach wykopaliskowych dr Zofii Wartołowskiej na grodzisku i podgrodziu w tejże miejscowości, i o odkryciu przez J. Samnowicza złóż krzemienia szarego biało nakrapianego w okolicy Hachowa i Świeciechowa w pow. krasnickim.

Żywszy rozwój badań archeologicznych rozpoczął się dopiero po II wojnie światowej. Było to związane z utworzeniem w końcu r. 1945 na wydziale matematyczno-przyrodniczym UMCS katedry prehistorii, którą objął dr Stefan Nosek, przemianowanej następnie w r. 1952 na katedrę archeologii Polski — już w ramach wydziału humanistycznego. Pierwszy kierownik katedry po przezwyciężeniu trudności organizacyjnych zabrał się — poza kształceniem młodzieży i ratowaniem zagrożonych stanowisk archeologicznych od razu do systematycznej inwentaryzacji zabytków na obszarze między Wisłą a Bugiem, a więc na terenie obejmującym poza województwem lubelskim jeszcze znaczną część prawobrzeżnej połaci województwa warszawskiego. Owocem tej pracy było wydanie w r. 1957 w Lublinie obszernego, bardzo pracowitego dzieła „Materiały do badań nad historią starożytną i wczesnośredniowieczną międzyrzecza Wisły i Bugu", zawierającego inwentarz wszystkich znanych autorowi zabytków archeologicznych z tego terenu. Prof. Nosek podjął też, mimo szczupłych środków finansowych, badania terenowe. Także współpracownicy prof. Noska — dr Jan Kowalczyk, dr Jan Gurba i mgr Zygmunt Ślusarski — przeprowadzali badania wykopaliskowe. W r. 1950 katedra prehistorii urządziła wystawę zabytków archeologicznych Lubelszczyzny, drugą po wystawie H. Łopacińskiego z r. 1901, i w tym samym roku powstał w Lublinie oddział miejscowy Polskiego Towarzystwa Archeologicznego.

Dopiero z chwilą wskrzeszenia katedry archeologii polskiej w Lublinie, którą objął uczeń prof. K. Jażdżewskiego z Łodzi, doc. dr Aleksander Gardawski, ożywiły się znów badania archeologiczne na Lubelszczyźnie. Dzięki dotacjom Prezydium WRN przeprowadzono szereg badań na obiektach wczesnośredniowiecznych: w Lublinie na Czwartku, na grodzisku w Chodliku w pow. opolskim, w Horodyszczu w pow. włodawskim i w innych miejscowościach; prace te prowadził oddział lubelski PTA.

Jednakże znów grozi zahamowanie rozwoju archeologii w Lublinie. W związku bowiem z wprowadzeniem tzw. studiów przemiennych, od trzech lat nie ma tu przyjęć na pierwszy rok archeologii; istnieją jedynie 4 i 5 roku studiów. Pilną koniecznością jest również zatrudnienie absolwentów na terenie Lubelszczyzny. Wobec niemożliwości zdobycia pracy w muzeum lubelskim muszą oni emigrować do innych województw, gdzie również trudno jest o pracę w tej specjalności. W Lubelskiem istnieją muzea regionalne w miastach powiatowych i tam właśnie należałoby stworzyć etaty dla archeologów i w ten sposób zapewnić miejsca pracy dla młodzieży kończącej studia oraz ułatwić akcję ratowania szczególnie bogatych w tym województwie, lecz mało dotąd zbadanych dokumentów najdawniejszej naszej przeszłości. Doc. Gardawski wykształcił od r. 1959 jednego doktora archeologii i piętnastu magistrów.

Równolegle z pracą badawczą i pedagogiczną rozwijała się w Lublinie akcja popularyzacji wyników badań naukowych, prowadzona głównie przez oddział lubelski PTA, zorganizowany z inicjatywy prof. Noska. Pierwszym prezesem oddziału był znany pedagog, prof. dr Mieczysław Ziemnowicz, obecnie zaś od sześciu lat przewodniczy Towarzystwu doc. A. Gardawski.

Działalność PTA przejawiała się głównie w wystawach urządzanych w miejscowościach, gdzie prowadzono badania, oraz w odczytach i pogadankach popularnych na tematy archeologiczne, numizmatyczne, bibliofilskie i ochrony zabytków. Tylko w latach 1957—1958 urządzono 40 odczytów, których wysłuchało 2400 osób. Towarzystwo współpracowało także z innymi instytucjami i związkami o celach kulturalnych i społecznych (PTTK, ZHP, TWP i in.).

Archeolog penetrujący Lubelszczyznę na każdym niemal kroku spotyka materiały potwierdzające bogactwo jej zabytków, pochodzących z odległych epok — od paleolitu do wczesnego średniowiecza.

Niestety, olbrzymia część nie zabezpieczonych zabytków niszczeje, a prace rolne i budowlane roboty ziemne ciągle zagrażają istnieniu pozostałych. Skromna grupa 6 wykwalifikowanych i pracujących w swej specjalności archeologów, z których pięciu ukończyło UMCS, nie jest w stanie objąć badaniami i inwentaryzacją wszystkich zabytków, ciągle odkrywanych w województwie.

Organizowany po raz pierwszy, grudniowy Ogólnopolski Tydzień Archeologiczny ma więc na celu popularyzację idei ochrony zabytków oraz pokazanie znaczenia archeologii jako nauki wpływającej na kształtowanie osobowości narodu. W czasie Tygodnia członkowie Polskiego Towarzystwa Archeologicznego wygłoszą szereg prelekcji, przeznaczonych dla uczniów lubelskich szkół podstawowych i średnich.

Cztery strony poświęca „Kamena" na publikacje związane z archeologią Lubelszczyzny i sąsiednich województw, wchodzących w skład historycznej Małopolski, co traktujemy jako nasz udział w popularyzacji tej pięknej i ciekawej nauki, rozjaśniającej zagadki dziejów. Zagadnienia sygnalizowane w artykułach korespondują też pośrednio z sesjami naukowymi, z których pierwsza, tematycznie związana z aktualnymi problemami urbanistyczno-konserwatorskimi miast o rozwijającym się przemyśle na przykładzie Chełma Lubelskiego, odbyła się w tym mieście 16 i 17 bm., a druga pod nazwą „Lubelszczyzna w 1000-leciu Polski" — 18 i 19 bm. w Lublinie.

Pragnąc dołączyć się do akcji ochrony zabytków archeologicznych, prosimy też czytelników o nadsyłanie na adres redakcji informacji o przypadkowo znalezionych, nawet najmniejszych przedmiotach, co do których można przypuszczać, że pochodzą z odległych czasów.

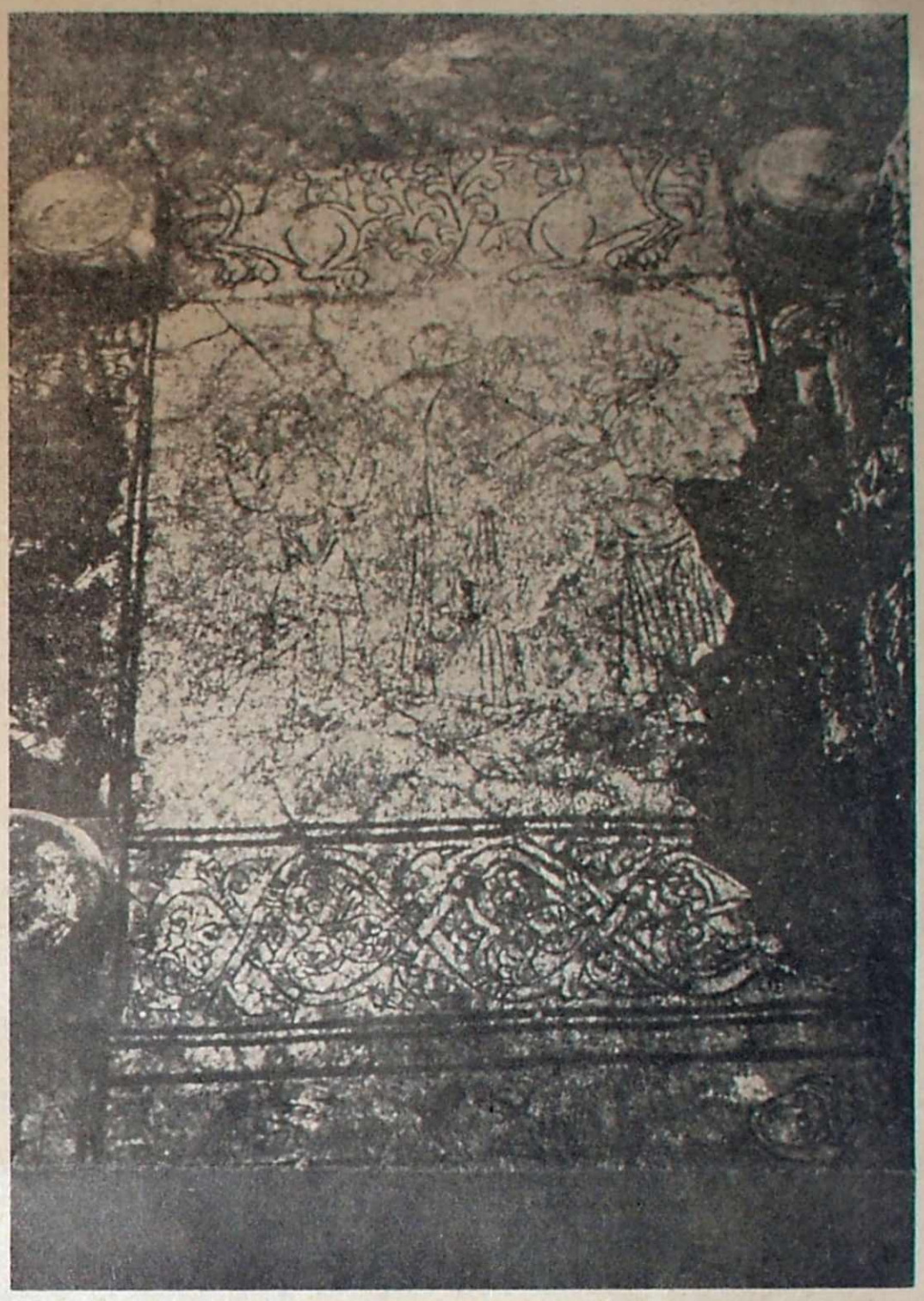

Płyta posadzkowa odkryta na poziomie romańskiej krypty dawnej kolegiaty św. Trójcy w Wiślicy. Świetny zabytek romańskiej rzeźby, kompozycyjnie zbliżony do tympanonów śląsko-kujawskich, wykonany prawdopodobnie ok. r. 1178/80 z białej masy gipsowej. Precyzja i elegancja rysunku powstałego przez wypełnienie wyżłobionych linii czarną pastą, oraz bogactwo dekoracyjnej bordiury, złożonej ze splotów roślinnych i motywów zwierzęcych — świadczą o wysokim poziomie artystycznym i pełnym opanowaniu techniki.

Wiślickie odkrycia i tajemnice

ARTUR BATA

WIŚLICA zajmuje w historii Polski szczególną pozycję i to jak najbardziej zasłużenie. Przeszłość jej bowiem jest złączona nierozerwalnymi więzami z zaraniem naszej państwowości i pierwszym organizmem słowiańskim — nie licząc VIII-wiecznego państwa Samona, którego powstanie i zasięg nie są nam niestety dostatecznie znane. Nic więc dziwnego, że z wielką uwagą śledzi się badania archeologiczne na terenie Wiślicy przynoszące ciągle nowe odkrycia, które mają decydujący wpływ na pełną charakterystykę początków wiślickiego grodu.

Punktem wyjścia do wszelkich rozważań są nieliczne wzmianki w przekazach historycznych i nader obfite legendy i podania. Jeśli nawet odrzucimy legendę o powstaniu państwa Wiślan, która ma wiele przekonywających, racjonalnych wątków, pozostają rzeczowe wzmianki w „Żywocie św. Metodego" o pogańskim księciu, który „urągał chrześcijanom i szkody im czynił". Mówi też o Wiślicy i wiślanach „Opis Germanii" króla angielskiego Alfreda Wielkiego oraz „Geograf bawarski".

Źródła te świadczą o fakcie, że w połowie IX wieku utworzyła się na terenach Ponidzia, w dorzeczu górnej Wisły i rejonie Gór Świętokrzyskich, organizacja o silnych cechach państwowości, na czele której stał książę, sprawujący najwyższą władzę. W obrębie państwa był też pogański ośrodek kultowy, położony prawdopodobnie w pobliżu Wiślicy na nadnidziańskich mokradłach. Chrzest przyjęli Wiślanie około 880 r., a więc ponad osiemdziesiąt lat wcześniej od Polski. I o tym fakcie jest wzmianka w „Żywocie...". Ówczesne ziemie Wiślan były chronione systemem grodów obronnych i silną drużyną wojskową.

Prace badawcze prowadzone w Wiślicy przez siedem sezonów przyniosły ważne odkrycia, zapoczątkowane odsłonięciem szczątków fundamentów przedromańskiego kościółka-kaplicy, odkopywanego przy ulicy Batalionów Chłopskich w odległości 30 m na zachód od gotyckiej kolegiaty. Badacze dopatrują się w nim kościoła św. Mikołaja, pierwszej świątyni chrześcijańskiej w Wiślicy, choć światło wewnętrzne (6 × 3 m) przeczy roli reprezentacyjnej, jaką niewątpliwie taka budowla musiała spełniać wśród nawróconych pogan. Była to raczej kaplica cmentarna, na co wskazują prostokątna przybudówka i bliskość dawnego cmentarza. Fundament kaplicy wspiera się na gipsowej, celowo uformowanej skałce z glinianym podestem, interpretowanej jako misa chrzcielna (rozmiary 4 × 2 m). Byłby to drugi tego rodzaju zabytek w Polsce, lecz budzi on szereg zastrzeżeń. Nóżka glinianego pucharka, jeśli rzeczywiście była znaleziona in situ, datuje misę na wiek IX, a więc sam Metody mógł z niej udzielać chrztu mieszkańcom Wiślicy.

Wydaje się, że pierwszego kościoła należy szukać raczej w kierunku południowo-zachodnim od kolegiaty, bliżej grodziska, które pochodzi dopiero z drugiej połowy X wieku.

Znajdujące się opodal niego pola noszą tradycyjną nazwę „za św. Marcinem" i może właśnie tam stał pierwszy, reprezentacyjny kościół. „Wiślicka wyspa" była więc dawniej zamieszkała od grodziska, a na jej największej kulminacji musiała się znajdować siedziba panującego, której nie wykryto w obrębie grodu.

Tzw. „wyspa wiślicka" jest jeszcze niedostatecznie zbadana, ale nadzwyczaj ciekawy materiał przyniosły podziemia kolegiaty, której budowę wykończono około 1350 r. Odkopano tu pozostałości po dwóch romańskich kościołach, działających jeden po drugim w II połowie XI w. i w XII—XIII w. Kościół romański pierwszy posiadał kryptę z przepiękną gipsową posadzką z rytami figuralnymi, przedstawiającymi motywy zwierząt i ludzi. To jeden z najpiękniejszych zabytków romańskich w Polsce, a jeden z nielicznych w Europie. Subtelność rysów postaci, łagodne linie z przewagą owali dają niesłychanie żywe, plastyczne efekty i podkreślają głęboki artyzm dzieł sztuki. Kościół romański drugi był znacznie większy (30 m długi) i posiadał dwie wieże, lecz i on nie przetrwał długo, gdyż na jego miejscu stanęła gotycka kolegiata.

Nie jest ostatecznie wyjaśnione, gdzie znajdowała się dawna przeprawa przez bagnistą dolinę Nidy, na której straży stał wiślicki gród. Wydaje się, że leżała ona na kierunku dzisiejszej szosy krakowskiej, ponieważ właśnie tu odległość pomiędzy brzegami doliny jest najmniejsza. Niektórzy poszukują również świątyni pogańskiej. Wydaje się jednak, że chram i cały ośrodek kultu znajdował się raczej poza wałami obronnymi, zarówno ze względu na szczupłość miejsca jak również i dlatego, że tam nie był narażony na bezpośrednie wścibstwo mieszkańców.

Przeciw ustalonym poglądom

Rozmowa z doc. dr. Aleksandrem Gardawskim kierownikiem Katedry Archeologii UMCS

LUBELSZCZYZNA jest rejonem niezwykle atrakcyjnym dla archeologa. Ciekawi nas, jakie epoki i kultury wchodzą w zakres badań naukowych, prowadzonych przez Katedrę Archeologii UMCS, którą Pan Profesor kieruje?

— W pierwszym okresie, mniej więcej do połowy lat pięćdziesiątych, koncentrowaliśmy uwagę na neolicie. Intensywne badania stanowisk w Parchatce, Klementowicach i Stoku doprowadziły do odkrycia pierwszych w Polsce, wielkich cmentarzysk płaskich z kultury pucharów lejkowatych. Nazwa tej kultury, wyznaczonej latami 4 200—1 700 p.n.e, pochodzi od kształtu naczyń ceramicznych, wówczas używanych.

Od r. 1959 braliśmy udział w szeroko zakrojonych badaniach milenijnych. Rozpoczęliśmy wtedy penetrację wschodnich obszarów Lubelszczyzny, na dłużej zatrzymując się w Chodliku.

— W jakich okolicznościach natrafiliście na ten znany już dzisiaj gród wczesnośredniowieczny?

— Pierwsze poszukiwania w Chodliku prowadził ks. A. Chotyński na przełomie XIX i XX w. Ten archeolog-amator przekopał część grodu, a następnie opublikował uwagi o dwóch odnalezionych naczyniach. Kiedy w r. 1952 kierowałem ekspedycją archeologów warszawskich, pracujących na wydmach w Trzcińcu, potworna susza zmusiła nas do przeniesienia się na inny obiekt. Wybór padł na pobliski Chodlik. Właściwe, wszechstronne badania z udziałem dr dr M. Deki, J. Gurby i S. Suchodolskiego, rozpoczęliśmy jednak dopiero w r. 1959. Rezultaty okazały się niezwykle cenne, dość powiedzieć, że uzyskaliśmy podstawy do cofnięcia o 200—300 lat chronologii wczesnego średniowiecza Małopolski. Wnioski wypływające z odkryć w Chodliku były zbyt szokujące, aby uznano je natychmiast. Waga dowodów i upływ czasu działają przecież na korzyść nowej chronologii. Trzeba przy tym podkreślić, że siedmioletnie badania, dotychczas nie zakończone, dały zaledwie wstępną orientację, choćby z względu na rozmiary grodu: 4 na 3 km.

— Czy działalność naukowa Katedry wniosła jakieś nowe elementy do ustalonych poglądów na początki państwa polskiego?

— Równolegle ze wspomnianymi badaniami, w krajach na południe i wschód od Polski zaczęliśmy zbierać materiały dotyczące problemów kultury i organizacji społeczno-politycznej Polski południowej w pierwszym tysiącleciu n.e. (lata 500—900). Praca nie jest jeszcze ukończona, lecz zasadniczy jej zrąb został położony. Odkrycia, przedstawione po raz pierwszy w r. 1962 na lubelskim sympozjum ogólnopolskim poświęconym Polsce południowej, wniosły dużo fermentu do ustalonych schematów dziejów rozwoju polityczno-społecznego Polski średniowiecznej.

— Mojej generacji przekazano w szkole średniej skończony obraz historii państwa, sformowanego zaczasów Mieszka I...

— Proszę nie zapominać o rozwoju nauki... Postawiliśmy tezę, że Polska południowa wraz z Morawą, Słowacją i Rumunią, między początkiem VII a drugą połową IX w. stanowiły jeden organ kulturowy. Archeologowie nie mogą jeszcze rozstrzygnąć czy były to organizmy polityczne, lecz zebrane materiały wskazują, że Małopolska i południowa Lubelszczyzna wchodziły w VII w. w skład państwa Samona, a 150 lat później — do Wielkiej Morawy. Ośmielamy się, wbrew tezom czechosłowackim, postawić tezę roboczą, że federacja wielkomorawska była podłożem dla organizmów państwowych — czeskiego i polskiego. Zbieżność kulturowa południowej Polski i krajów na południe od Karpat zdają się więc wskazywać na inny, niż dotąd się u nas przyjmowało, proces rozwojowy Czech i Polski. Po rozbiciu federacji wielkomorawskiej przez czynniki wewnętrzne i zewnętrzne, pretensje do dziedzictwa wniosły oba powstające państwa. Stąd właśnie w początkach X w. walki Polski i Czech o Śląsk i Małopolskę.

— Jakie są materialne dowody tej interesującej tezy?

— Konkretnym śladem przedstawionego układu sił polityczno-społecznych w VII, VIII i IX w. wydają się być organizmy miejskie w Mikulcicach, Pohańsku i Nitrze, a w Polsce — w Chodliku i Stradowie w Małopolsce. Wielkie grody tego typu istnieją tylko u nas i na południe od Karpat; ich pochodzenie jest dość zagadkowe, choć przypominają starsze budowle celtyckie.

Jak dotychczas hipoteza ta nie wywołuje zbytniego entuzjazmu, lecz popierają ją poważne w końcu przesłanki.

— Czy wczesnośredniowieczne osady odkryte na Lubelszczyźnie, tak przecież istotne dla naszej historii i kultury, są odpowiednio zabezpieczone?

— Opiekę nad nimi, połączoną z troską o odpowiednie przedstawienie wykopalisk, przyjęło Prezydium WRN. Szczególnie dużo zawdzięczamy przewodniczącemu P. Dąbkowi, który zaproponował, aby z Chodlika i najstarszego osiedla lubelskiego, na Czwartku, zrobić rezerwaty archeologiczne w typie Biskupina. Ta cenna inicjatywa implikuje jednocześnie dalsze badania. My proponujemy, w związku ze zbliżającą się rocznicą nadania Lublinowi praw miejskich, wznowienie prac na Czwartku, ponieważ kryje on właściwą metrykę miasta: począwszy od VII w. ilustruje nieprzerwany rozwój wczesnego osadnictwa aż do skończonego organizmu urbanistycznego.

— Wydaje się, że niedawne rewelacyjne odkrycia na Górce w Chełmie także ułatwią rozwiązanie wielu problemów historii...

— Oczywiście. Katedra nasza uczestniczy zresztą w chełmskich wykopaliskach, dr J. Gurba kieruje tam archeologicznymi badaniami sondażowymi. Chciałbym jednak podkreślić, że dotychczasowe poszukiwania powinny znaleźć kontynuację w szerokich, właściwych badaniach archeologicznych: w przeciwnym wypadku nie można będzie pokazać historii faktycznego centrum miejskiego. Na podstawie pewnych materiałów sądzimy, że odsłaniany obecnie gród jest kontynuacją starszego obiektu, leżącego obok, lub grodziska w niedalekim Horodyszczu, skąd pochodzi wczesnośredniowieczna ceramika, zbliżona do odnalezionej na Czwartku i w Chodliku. Badania ograniczone do pojedynczego i późniejszego obiektu, nie wniosą nowych wiadomości do najdawniejszej historii Chełma.

— Chodzi więc o to, aby dalsze prace badawcze były wszechstronne i kompletne?

— Tak, ponieważ badania typu zespołu urbanistycznego wymagają przedstawienia całokształtu wczesnych osiedli Chełma i okolicy. Z uwagi na niemal zupełny brak źródeł i opracowań wczesnego średniowiecza w tym bogatym w zabytki rejonie, badania kompleksowe Chełma zdają się zapowiadać rewelacyjne wyniki, które, być może, wyjaśnią kwestię przynależności etnicznej najstarszych zespołów osadniczych Ziemi Chełmskiej, co obecnie nadal jest sprawą otwartą. Już teraz ujawniono na przykład fragmentaryczną odrębność ceramiki XII—XIV w. z terenu Chełma w stosunku do tego wszystkiego, co znamy zarówno z Lubelszczyzny i Małopolski, jak i z terenów ruskich.

— Pan pozwoli, Panie Profesorze, że końcowe pytanie będzie bardziej osobiste: co spowodowało tak głębokie zainteresowanie się wczesnym średniowieczem, dość zaskakujące u badacza odległych epok neolitu i brązu?

— Po prostu „wciągnąłem się"... A może zadecydowała tu moja niechęć do ustalonych poglądów, uznawanych za pewniki, a które w gruncie rzeczy są tylko hipotezami roboczymi?! Zobaczyłem teren wymagający nowego podejścia, nowej próby analizy.

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński

Perspektywy czasu

JAN KOWALCZYK

JEST rzeczą niewątpliwą, że wydarzenia związane z tysiącleciem państwa polskiego miały niesłychanie wielkie, a nawet decydujące znaczenie dla ukształtowania się osobowości naszego narodu. Dotyczą nas najściślej. Równocześnie jednak rzeczywistość współczesna zmusza do uwzględnienia możliwie jak najwięcej czynników, możliwie najszerszego tła, nie tylko tego, co dotyczy nas bezpośrednio. Zmusza nas do interesowania się bardzo odległymi wydarzeniami, które nieustannie w jakiś sposób oddziałują na naszą sytuację. To samo dotyczy również przeszłości. Jest ona coraz dokładniej poznawana i coraz głębiej sięga się w motywacjach aktualnych decyzji. Toteż tylko możliwie pełne jej uwzględnienie stwarza właściwą perspektywę widzenia siebie i społeczności, do której należymy.

Perspektywa jednego tysiąca lat stanowi tylko najnowszy, ostatni odcinek, najbliższy nam i dlatego najbardziej znany i podkreślany. Z archeologicznego punktu widzenia zasługują na wyróżnienie również trzy dalsze daty: 200 000, 6 000 i 3 500.

Pierwsza określa czas pojawienia się najstarszych gromad ludzkich na obszarze pomiędzy Karpatami i Bałtykiem. Wprawdzie nasuwający się później lodowiec bardzo poważnie ograniczał możliwości rozwoju kultury na tych terenach, niemniej tamten moment wprowadził nowy czynnik twórczy również na nasze ziemie. Warto przy tym wiedzieć, że data 200 000 lat wyznacza fakty spóźnione o pół miliona lat w stosunku do innych obszarów naszej planety. „Zaczęło się" najprawdopodobniej w Afryce. Z kolei na obszarze Europy miał miejsce zagadkowy proces demetanizacji, powstania białego człowieka.

Druga data (6 000) oznacza punkt zwrotny w tworzeniu podstaw kultury. Nastąpiła wówczas radykalna zmiana w sposobach zdobywania pożywienia przez wprowadzenie rolnictwa i hodowli zwierząt. Zdobycze te pociągnęły za sobą lawinę konsekwencji, wśród których główne to: osiadły tryb życia, rozkwit nowych technik w zakresie obróbki surowców oraz pierwsza chyba w dziejach „eksplozja demograficzna". W tym wypadku ziemie nasze miały opóźnienie „już tylko" około 3 000 lat w stosunku do Bliskiego Wschodu i około 2 000 w porównaniu z Europą południowo-wschodnią.

Można w związku z tym wspomnieć o dość charakterystycznej hipotezie dotyczącej genezy wspomnianych zdobyczy na Bliskim Wschodzie. Otóż równocześnie z polepszeniem się warunków przyrodniczo-klimatycznych na naszych ziemiach (cofanie się lodowca), następowało ich pogorszenie (wysuszanie) na południu. Kurczyły się tam szybko obszary zdatne do uprawy. Powtarzające się jednak cykliczne wylewy rzek (Eufrat i Tygrys, Nil) okresowo polepszały warunki dla wegetacji roślin, podnowiadając jak gdyby człowiekowi konieczność doprowadzenia i utrzymania wody na polach uprawnych. Powstała w ten sposób jedyna w swoim rodzaju sytuacja równoczesnego nacisku przyrody i inteligencji. W przeciwieństwie do niszczącego działania nasuwającego się lodowca na naszych ziemiach, umiarkowane „dawkowanie" trudności na południu, w połączeniu z ludzką inteligencją, przyczyniło się do powstania właśnie tam nowych, wielkich osiągnięć gospodarczych.

Podobnie więc, jak doceniamy wielki wkład cywilizacyjny historycznych państw Bliskiego Wschodu, powinniśmy uznać te właściwie znacznie wcześniejsze osiągnięcia, których przyjęcie przez Europę stworzyło właściwe warunki dla późniejszego rozwoju.

Warto wreszcie dodać, że w rozprzestrzenianiu się najstarszych zdobyczy nowej epoki uczestniczył w szczególnie aktywny sposób obszar dzisiejszej Lubelszczyzny, mający bezpośrednią styczność z bujnym i wspaniałym kręgiem kultur Europy południowo-wschodniej, o podobnym do rdzennych kultur Małej Azji charakterze. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że już nigdy później roli takiej nie spełnił.

Ludy, jakie zamieszkiwały w tym czasie nasze ziemie, należały do nie sformowanej jeszcze wyraźniej, wspólnej rodziny indoeuropejskiej, która później objęła szereg plemion od Półwyspu Indyjskiego do Atlantyku.

Trzecia data (3 500) wiąże się już — według niektórych hipotez — z wyodrębnieniem Prasłowian. Przypuszczalnie pomiędzy Odrą a Dnieprem, w strefie styku zwartych lasów i stepu parkowego oraz stepu, istniały możliwości konfrontacji różnych osiągnięć kulturowych, a więc dogodne warunki dla szybszego rozwoju. W ciągu 2 500 lat, tzn. do początków naszej państwowości, miały miejsce na naszych ziemiach szczególnie burzliwe wydarzenia, nasilające się około 2 500 lat (m. in. najazd Scytów) i 1 500 lat temu (m. in. najazd Hunów). Po każdym z tych okresów krytycznych następowały znaczne zmiany w kulturze, co niektórym archeologom nasuwa przypuszczenie o możliwości jednoczesnych zmian ludnościowych. Niewątpliwie jednak rację mają ci, którzy przyjmują, że zasadniczy zrąb ludnościowy w dorzeczu Odry i Wisły trwa dłużej niż 3 500 lat. Duże bowiem obszary o trwałej przydatności osadniczej, z odpowiednią siecią wodną i szatą roślinną, nie były miejscem pełnej wymiany ludności w czasach dawniejszych. Dopiero nowożytność, ze swoją eksterministyczną polityką, i w tej dziedzinie stworzyła nową sytuację.

W ten sposób, w kilku skrótowych rzutach, można by naszkicować również dalsze perspektywy czasu.

Skarb z Dratowa w pow. Opole Lub. z okresu kultury trzcinieckiej (1500—1300 p. n. e.). Fot. Tadeusz Biniewski

Zasypany gród

Wielką sensacją ubiegłych miesięcy było odkrycie pod staromiejskim centrum Chełma Lubelskiego systemu podziemnych korytarzy i komór, tworzących labirynt o długości kilkudziesięciu kilometrów. (patrz „Kamena" nr 14). Przeprowadzone badania pozwoliły ustalić kierunek zbiegu głównych korytarzy, który prowadził do tzw. Górki, gdzie obecnie znajduje się katedra. Częściowe rozkopanie zbocza przyniosło rewelacyjne wyniki, których pełne opracowanie naukowe zmieni zapewne wiele w ustalonej historii Chełma i wniesie nowe elementy do dziejów polskiego średniowiecza. O bliższe informacje, dotyczące odkrycia, zwróciliśmy się do doc. dr WIKTORA ZINA, kierownika Katedry Historii Architektury Polskiej Politechniki Krakowskiej i jego współpracownika dr WŁADYSŁAWA GRABSKIEGO, którzy prowadzą badania w Chełmie.

— Ciekawi nas, co poza układem korytarzy zwróciło uwagę panów na Górkę?

— Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy cofnąć się do początków naszego stulecia. Otóż w latach 1910—12 w rejonie tym prowadzili badania dwaj Rosjanie: historyk Korałłow i architekt Pokryszkin. Wyniki swoich prac publikowali w kalendarzach chełmskich i w ówczesnych gazetach. Większość materiałów zginęła jednak w czasie pierwszej wojny światowej, ocalały jedynie fragmentaryczne zapiski w brulionach, które z kolei opracował i opublikował uczony radziecki Rapoport w wydawnictwie Akademii Nauk ZSRR w latach pięćdziesiątych. Zrozumiałe, że praca ta nie była wyczerpująca: autor nie znał Chełma z autopsji, nie prowadził tam żadnych badań, opierał się jedynie na częściowo ocalałych materiałach z początku wieku, kiedy metody badawcze pozostawiały, w świetle dzisiejszej nauki, wiele do życzenia. Czytaliśmy tę publikację i od razu rzuciło nam się w oczy pominięcie zależności i związków stratygrafcznych oraz nieuwzględnienie materiału ceramicznego — dziś pierwszorzędnej podstawy dla ustalania chronologii. Tak więc, przy współpracy z Katedrą Archeologii Polskiej i Powszechnej UMCS, a głównie przy pomocy kierownika Katedry doc. dr Aleksandra Gardawskiego oraz dr Jana Gurby, przystąpiliśmy do weryfikacji znanych uprzednio wyników.

— Jakie przesłanki skłoniły badaczy rosyjskich do podjęcia prac wykopaliskowych w rejonie Chełma?

— Inspirowały ich dane zawarte w tzw. „Kronice Hipacowskiej" z pierwszej połowy XIII w., mówiące o genezie miasta. Według tego źródła Chełm został założony przez księcia Daniela Romanowicza, panującego na Rusi Włodzimiersko-Halickiej, który zmuszony wewnętrzną sytuacją polityczną przeniósł w r. 1235 stolicę na nowe miejsce, „które tak bardzo umiłował". Władca ten był zresztą spokrewniony z panującą dynastią polską. Wszelkie więc znaleziska interpretowano jako pochodzące z czasów Daniela.

— Czy „Kronika Hipacowska" znana jest naukowcom z polskiego przekładu?

— Niedawno przetłumaczyliśmy najważniejsze fragmenty tego źródła, co w rezultacie dało dodatkowy bodziec do nowych hipotez: okazało się mianowicie, że zawiera wiele niedomówień i możliwości nowej interpretacji.

— Takie były okoliczności poprzedzające odkrycie...

— Po pierwsze: fragmentu pałacu książęcego którego niewielką, odkrytą niegdyś część poprzednicy nasi mylnie interpretowali jako mur obronny, oraz budowli sakralnej, czyli zespołu zwanego palatium, stanowiącego siedzibę Daniela Halickiego, ponieważ zarówno układ świątyni jak też podstawowy zielony chełmski kamień budulca wymienia „Kronika"; pozwala to datować palatium na okres około 1240 r.

— Słowem, byłby to typ budowli znany na naszych ziemiach w okresie preromańskim: na Ostrowiu Lednickim, w Gieczu, Przemyślu, na Wawelu i na Wzgórzu Lasoty w Krakowie?

— Tak. Najbardziej jednak rewelacyjne wyniki przyniosły badania głębszych warstw. Przekopaliśmy zbocze wzgórza, którego plateau posiada wymiary 40 na 60 m. I okazało się, że palatium stoi na znacznie starszych warstwach osadniczych. Na stromym zboczu odsłonięto duże partie wczesnośredniowiecznych fortyfikacji, wykonanych z dębowych bierwion o znacznej średnicy, dochodzącej nawet do 35 cm, ułożonych w wielkie skrzynie, wypełnione głazami. Ten obronny wał, wykonany systemem skrzyniowym, wieńczy doskonale zachowana drewniana palisada — w pięciu rzędach. Według docenta Gardawskiego jest to jeden z najlepiej zachowanych w Polsce fragmentów wczesnośredniowiecznego systemu obronnego.

Wyodrębniono również dwa poziomy użytkowe pierwotnego grodu, co wskazywałoby na jego przebudowy, oraz wiele ceramiki, broni i kości — w tym również łosia i niedźwiedzia.

„Zielony pałac" Daniela Halickiego wzniesiony został na zasypanym, wcześniejszym grodzie, który pochodzi prawdopodobnie z XI lub początków XII w.; mamy nadzieję, że dalsze badania wykopaliskowe uściślą datę budowy starego grodu.

— Na jakiej podstawie ustalono tę hipotetyczną chronologię?

— Zasypany gród mógł pełnić rolę podłoża dla palatium dopiero po upływie co najmniej 100 lat, czyli

→

Zwiad lotniczy nad Górami Świętokrzyskimi

KAZIMIERZ BIELENIN

PROWADZONE na Kielecczyźnie badania archeologiczne sięgają do coraz doskonalszych metod, wykorzystując przy tym wszystkie możliwe zdobycze współczesnej techniki. Takim właśnie stał się początkowo samolot, a później helikopter, niezwykle pomocne w badania północno-wschodniego rejonu Gór Świętokrzyskich.

Od czasu, gdy Muzeum Archeologiczne w Krakowie, prowadząc wspólnie z Zespołem Polskiej Techniki Hutniczej Zakładu Historii Nauki PAN badania nad starożytnym hutnictwem żelaza w Górach Świętokrzyskich, weszło w kontakt z kieleckim Aeroklubem, upłynęło już kilka ładnych lat. W ciągu tego czasu nasze kontakty nie tylko nie zerwały się, ale na tyle umocniły, że obecnie możemy pokazać dobre rezultaty wzajemnej współpracy.

Korzystając z pomocy lotnictwa — nie odkryliśmy Ameryki. Nie wszystkim wiadomo, że samolot „zaprzężony" został na usługi archeologii jeszcze przed pierwszą wojną światową. W okresie międzywojennym lotnicze obserwacje terenu stosowane były przez badaczy angielskich, głównie na Bliskim Wschodzie — w Palestynie, Mezopotamii i Macedonii. Przeprowadzali oni tego rodzaju badania również na terenie Wielkiej Brytanii.

W tym samym czasie obserwacje lotnicze dla celów archeologii wprowadzili też naukowcy radzieccy. Samoloty znalazły się w wyposażeniu ekspedycji prowadzących poszukiwania na rozległych terenach pustynnej części azjatyckiej Związku Radzieckiego. Słynny archeolog S. P. Tołstow, prowadzący badania w rejonie Morza Aralskiego i w dolinie rzeki Amu Darii oraz na pustyniach Kara-kum i Kyzył-kum, posiadał eskadrę samolotów, z których obserwowano tereny, robiono zdjęcia dostrzeżonych obiektów.

Również w Polsce w okresie międzywojennym lotnictwo oddało niemałe usługi archeologii. W czasie badań słynnego już w tym czasie Biskupina używano... balonu do obserwacji i robienia zdjęć.

W okresie drugiej wojny światowej metoda wykrywania stanowisk archeologicznych z samolotu została upowszechniona i w znacznej mierze udoskonalona. Z literatury dowiadujemy się, że lotnicy poszczególnych armii, w czasie lotów patrolowych, zajmowali się obserwacją terenu dla celów archeologicznych. Na przykład lotnicy RAF prześledzili i sfotografowali ślady stanowisk rzymskich w Appuli.

Po drugiej wojnie światowej archeologia wielu krajów europejskich zaczyna powszechnie stosować dla swoich celów wywiad i fotografię lotniczą. Z poważniejszych sukcesów w tym zakresie warto wymienić odkrycie limesu rzymskiego w Numidii.

Najdogodniejszą porą dla obserwacji i fotografowania z powietrza jest wczesna wiosna albo późna jesień. Pozbawione roślinności pola pozwalają, wskutek zróżnicowanego zabarwienia ziemi, wykryć ślady dawnych osad czy wszelkiego typu stanowisk produkcyjnych. Bardzo wyraźnie odcinają się od reszty terenu stanowiska hutnicze i weglarskie. Z większej wysokości możliwe jest uchwycenie, ledwie nieraz dostrzegalnych na powierzchni ziemi, znaków — głównie przy pomocy barwy, w mniejszym stopniu — na podstawie różnic w poziomie. Natomiast latem zarys obiektu uwidacznia wysokość i barwa szaty roślinnej.

Już w pierwszym roku badań archeologicznych, prowadzonych w północnym rejonie Gór Świętokrzyskich, zwróciliśmy uwagę na różne zabarwienie gleby niektórych odcinków tego terenu, widoczne szczególnie po deszczu. Przeprowadzone później dokładne badania wykazały, że są to pozostałości starożytnych świętokrzyskich m i e l e r z y, obiektów służących do zwęglania drewna, potrzebnego w ówczesnym hutnictwie. Zauważyliśmy również, że ciemne plamy na polach występują z reguły w pobliżu stanowisk żużla żelaznego, wiążąc się z piecowiskami hutniczymi. Nie zawsze jednak można je było rozróżnić patrząc z powierzchni ziemi.

W trzecim roku badań nad starożytnym hutnictwem żelaza w Górach Świętokrzyskich rozpoczęliśmy intensywne starania o wprowadzenie do akcji badawczej obserwacji i fotografii lotniczej. Zdjęcia wykonane w odpowiedniej porze dnia i roku pozwalają nie tylko wykryć stanowiska archeologiczne, ale — co więcej — dają obraz zalegania całych ich zespołów, niejednokrotnie łącznie z siecią dróg. Pozwalają też uchwycić szczegóły zupełnie z powierzchni ziemi niedostrzegalne.

Efekty otrzymaliśmy już w czasie pierwszych przelotów wiosną 1960 r. Wykryliśmy wtedy wiele nowych punktów starożytnego osadnictwa. Przeprowadzone na jednym z nich w r. 1961 badania wykopaliskowe potwierdziły istnienie śladów dużej osady z okresu wpływów rzymskich (koło wsi Kowalkowice w powiecie opatowskim). Pozostałe punkty okazały się również stanowiskami osadniczymi i hutniczymi.

O wiele ciekawsze rezultaty otrzymaliśmy w listopadzie 1961 roku, kiedy to z wysokości 100—200 metrów wykonaliśmy przeszło trzydzieści fotografii, z których piętnaście zasługuje na specjalną uwagę archeologa.

Zdjęcia stanowią bardzo cenny materiał do studiów nad starożytnym hutnictwem żelaza i osadnictwem w Górach Świętokrzyskich.

Dalsze badania trwają bez przerwy. W ubiegłym roku z samolotu przenieśliśmy się na pokład... helikoptera. To jeszcze bardziej ulepszyło naszą pracę, której celem jest m. in. wykonanie jedynego w swoim rodzaju planu: śladów starożytnego hutnictwa i przemysłowego osadnictwa w Górach Świętokrzyskich.

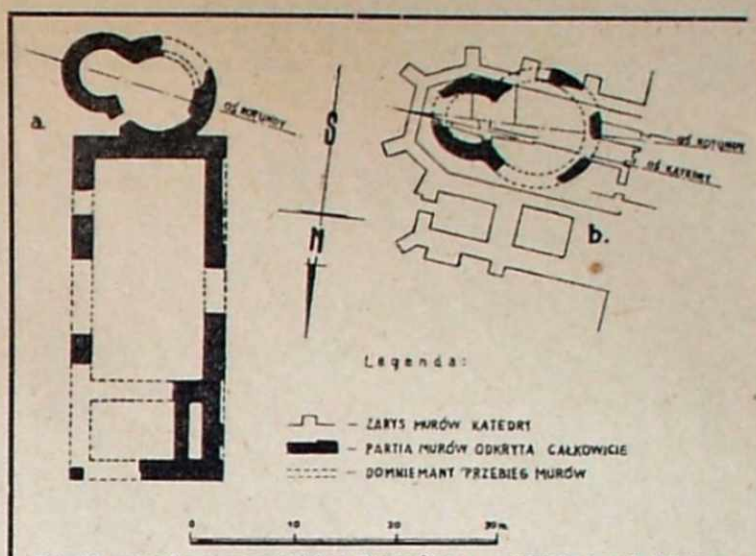

Zabytki architektury romańskiej w Przemyślu: a. — rotunda i park książęcy na zamku przemyskim (wg. A. Zakiego), b. — rotunda pod wezwaniem św. Mikołaja na Placu Katedralnym (wg. A. Kunysza).

Przemyśl we wczesnym średniowieczu

ANTONI KUNYSZ

WŚRÓD wczesnośredniowiecznych ośrodków osadniczych na ziemiach polskich, Przemyśl odgrywał znaczną rolę. Potwierdzają to źródła arabskie, hebrajskie, ruskie, węgierskie i polskie z wieków od XI do XIII. Baza źródłowa została zresztą znacznie wzbogacona dzięki trwającym od 10 lat badaniom archeologicznym, prowadzonym przez placówki Polskiej Akademii Nauk, Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków Archeologicznych w Rzeszowie oraz Muzeum Ziemi Przemyskiej.

Duża osada nad Sanem w rejonie dzisiejszej zabudowy istniała w pierwszych wiekach naszej ery. Dowodzą tego importy celtyckie odnalezione na terenie miasta jak i w najbliższej okolicy (Medyka, Sierakośce). Z okresu wpływów kultury prowincjonalno-rzymskiej znamy też dużo monet rzymskich. Z II—IV w. pochodzi naczynie brązowe wykonane w pracowniach alpejskich, a znalezione w dzielnicy Kazanów.

Okres wczesnośredniowieczny znany jest dopiero z przełomu w.IX/X (?). W rejonie dzisiejszego Placu Katedralnego istniała wówczas osada. Z nieco być może wcześniejszego okresu pochodzi zagadkowy duży kopiec w południowej części miasta, zwany często kopcem Przemysława, legendarnego założyciela Przemyśla. Pewnych analogii do kopca przemyskiego dostarcza kopiec „Krakusa" w Krakowie, czy „Salve Regina" w Sandomierzu. W jego najbliższej okolicy na początku XX w. znajdowało się wiele mniejszych kopców, być może kurhanów ciałopalnych; uległy one zniszczeniu podczas prac ziemnych przy budowie twierdzy przemyskiej przez Austriaków.

W końcu X w. na terenie wzgórza zamkowego w zachodniej partii miasta, gdzie dzisiaj znajdują się fragmenty zamku renesansowego, wzniesiono znaczny dwuczłonowy gród, umocniony silnym wałem ziemnym o konstrukcji drewnianej. Wykopaliska na terenie grodu odsłoniły wiele reliktów drewnianej zabudowy w postaci zrębów domów z X/XI w. Wielkim wydarzeniem naukowym było odkrycie w r. 1960 monumentalnej architektury preromańskiej złożonej z kaplicy grodowej (rotundy) i pałacu książęcego, datowanych na koniec X i początek XI w.

Odkrycie na terenie Przemyśla wczesnopiastowskiej monumentalnej architektury, analogicznej do budowli w Gieczu, Krakowie (Wawel) czy Ostrowie Ludnickim świadczy o przynależności ziem nad Sanem wraz z Przemyślem do tej samej państwowości, a więc do państwa pierwszych Piastów. W 1961 r. natrafiono na rotundę w podziemiach dzisiejszej katedry. Dużych rozmiarów budowla, pod wezwaniem św.

(Dokończenie na str. 8)

Starożytna granica na Bugu

JAN GURBA

STALE podkreśla się w archeologii ważną rolę obszaru dzisiejszej Lubelszczyzny. Z jednej strony jest ona pogranicznym obszarem dla wielu terytorialnych zespołów źródeł archeologicznych, określanych terminem „kultury", z drugiej zaś — szlakiem, którym w różnych okresach pradziejów przenikały one z zachodu na południowy wschód i odwrotnie.

Archeologia, wbrew niektórym badaczom stojącym, na gruncie „czystej nauki", odtwarza m. in. historię grup etnicznych, migracje itp. Należycie wyróżniona „kultura" w pojęciu archeologicznym pokrywa się zwykle z grupą etniczną.

Dopiero od okresu wczesnośredniowiecznego, kiedy z połączonych państewek przedfeudalnych, odpowiadających jednostkom plemiennym, powstały na skutek ekspansji duże organizmy państwowe, granice polityczne i państwowe przestały utożsamiać się z granicami etnicznymi, narodowościowymi.

Obecnie rozmaite elementy współczesnej kultury ludowej tworzą na obszarze położonym między Wisłą i Bugiem pogranicze etnograficzne. Ten dzisiejszy, widoczny w materiale etnograficznym pas graniczny jest, w niewiele zmienionej formie, odpowiednikiem dawnej granicy przebiegającej między obszarami wschodniej i zachodniej Słowiańszczyzny. Zobaczmy, jak ta sprawa wyglądała w dalekiej przeszłości.

W początkach naszej ery, w epoce rozkładu wspólnoty pierwotnej, granica między zwartym osadnictwem Słowiańszczyzny Zachodniej (Wenedowie ze źródeł starożytnych, grupa przeworska archeologicznej kultury wenedzkiej) i Wschodniej (Antowie, kultury zarubiniecka i czerniachowska) przebiegała właśnie wzdłuż Bugu. Wschodnia granica (wschodnio) pomorskiej kultury z IV w. p. n. e. również opierała się na Bugu i podobnie wyglądał zasięg zachodniej prasłowiańskiej kultury łużyckiej w końcu epoki brązu (VII w. p. n. e.).

Jedynie zasięg najstarszej, dającej się utożsamiać z Prasłowianami kultury trzcinieckiej (nazwa pochodzi od odkryć w Trzcińcu w pow. opolsko-lubelskim) z połowy II tysiąclecia p. n. e., obejmuje bez podziałów rozległy obszar sięgający od Warty na zachodzie do Dniepru na wschodzie.

Przed tym, Bug, już w ciągu III tysiąclecia p. n. e., stanowił wyraźną granicę zwartego osadnictwa między obszarami zajętymi przez środkowoeuropejską kulturę czasz (pucharów) lejowatych i kulturę trypolską południowo-wschodniej Europy.

Oprócz stwierdzanej na podstawie badań wykopaliskowych wyraźnej granicy między terytorialnymi zespołami źródeł archeologicznych na Bugu, stwierdza się również obustronne ekspansje i migracje, które przekraczały Bug w starożytności właśnie na jego odcinku między Wyżyną Lubelską i Wołyniem. Szerokość przejścia granicy, zamkniętej na północy bagnami Polesia a od południa wzniesieniami Roztocza, otwierała drogę ku wschodowi starożytnym migracjom, m. in. kulturze amfor kulistych z przełomu II na III tysiąclecie p. n. e., zachodnio prasłowiańskiej kulturze łużyckiej, (wschodnio-) pomorskiej i wenedzkiej. Tą właśnie drogą kierowały się na zachód grupy ludności kultury ceramiki sznurowej około 2000 lat p. n. e., wojenne najazdy Scytów z VI w. p. n. e., tedy przebiegał żywy szlak handlowy, łączący miasta starożytnego Nadczarnomorza z „barbarzyńskimi" Wenedami.

Właśnie z tego względu wschodnia część Wyżyny Lubelskiej, jako obszar żywych wzajemnych kontaktów najrozmaitszych grup kulturowych, będąca jakby bramą dla wpływów idących do środkowej Europy ze stojących na wyższym stopniu rozwoju ziem nadczarnomorskich, jest terenem ożywionej penetracji archeologów i zainteresowań nie tylko polskiej archeologii. Tylko tu można odnaleźć ślady bezpośrednich bliskich oddziaływań bogatych kultur południowo-wschodniej Europy na ziemie Europy środkowej.

chełmskiej Górki

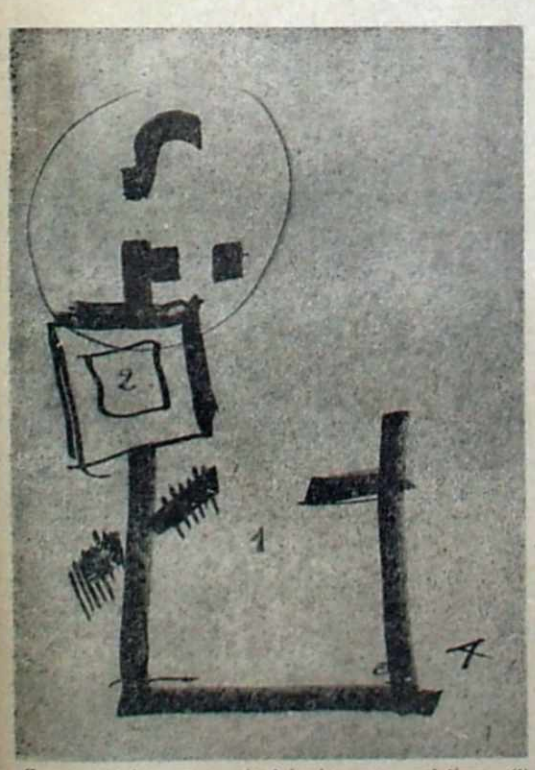

Zarys murów wczesnośredniowiecznego palatium (1) i kwadratowej wieży — donżonu (2) odsłoniętych w czasie badań na Górce chełmskiej. Szkic wykonany przez doc. dr W. Zina podczas udzielania wywiadu.

po pełnym „uleżeniu się" warstwy ziemi. To nie podlega dyskusji.

— Czy zachowane fragmenty pierwszego grodu pozwalają określić jego wartość architektoniczno-budowlaną?

— Dwa poziomy użytkowe, pięć rzędów palisady, staranna konstrukcja wału sięgającego ponad 12 m — wszystko to wskazuje na budowlę o wysokim poziomie technicznym. O rozwiniętej technice budowlanej świadczy również wypełnienie skrzyń wału obronnego kamieniami, co dawało większą trwałość niż wypełnienie ziemią.

— Wymienione odkrycia zmienią zapewne znacznie dotychczasowe poglądy na początki Chełma?

— Niewątpliwie. Mamy także dowody, że już w drugiej połowie XIV w. pałac Daniela nie istniał. Świadczą o tym dobrze zachowane pozostałości kwadratowej wieży mieszkalnej — donżonu z czasów Kazimierza Wielkiego, odkryte w czasie ostatnich badań powyżej zniszczonych murów trzynastowiecznego palatium. Na specjalną przy tym uwagę zasługuje bliźniacze podobieństwo zarówno wymiarów jak i technologii tego donżonu do baszty w pobliskim Bielawinie. Prawdopodobnie były to dwie budowle identyczne. Ścisłe datowanie donżonu rzutuje w sposób wyraźny na ustalenie czasu wzniesienia baszty bielawińskiej, która prawdopodobnie pochodzi również z XIV w. Dotychczas historiografia wiązała ją z latami panowania Daniela.

— Podobnie jak wieżę w pobliskim Stołpiu...

— Geneza i chronologia wieży w Stołpiu nie są jednak całkowicie wyjaśnione. Istnieją trzynastowieczne dokumenty, z których wynika że na mocy porozumienia między książętami ruskimi a Leszkiem Białym ten ostatni zastrzegł sobie utrzymywanie polskich załóg wojskowych w grodach leżących przy drogach wlotowych do Chełma: w Uhrusku, Kumowie, Wereszczynie i właśnie w Stołpiu.

— Jak, w świetle dotychczasowych badań, starszych i najnowszych, można by przedstawić schemat wczesnych dziejów Chełma?

— W XI/XII w. był to prawdopodobnie jeden z polskich grodów obronnych. W XIII w. panował tu Daniel, książę halicko-włodzimierski, a od drugiej połowy XIV w. miasto znalazło się znów w posiadaniu Polski. Do dalszego rozwoju Chełma przyczynił się szczególnie Jagiełło, który na przełomie XIV i XV w. nadał dokumenty lokacyjne i prawo magdeburskie, umożliwiające swobodny rozwój miasta, wybudował katedrę łacińską i poszerzył znacznie miasto od północy i zachodu. Prosperity trwała do połowy XVII w.

— Powracając do ostatnich badań i odkryć: kiedy można spodziewać się utrwalenia ich w postaci publikacji naukowej?

— Pyta pan o koniec na samym początku... Prace potrwają jeszcze co najmniej dwa sezony badawcze. Już jednak dotychczasowe wyniki badań, przedstawione w listopadzie komisji naukowej PAN, wywołały niezwykłe zainteresowanie. Znaczenie odkryć i świetnie zachowane fragmenty budowy zwróciły również uwagę zarówno władz wojewódzkich i miejskich jak też Ministerstwa Kultury i Sztuki na konieczność zorganizowania na wzgórzu chełmskim rezerwatu architektoniczno - archeologicznego. Taki obiekt cieszyłby się na pewno wielkim powodzeniem.

Rozmawiał: IJK

Kosztowne milczenie lubelskiej ziemi

ZDZISŁAW RAJEWSKI

ROZLEGŁY obszar Lubelszczyzny kryje relikty szczególnej wagi dla archeologii. Lubelskie jak i Małopolska są obszarami, na które od epoki kamiennej starszej oddziaływały nie tylko kultury z południa, wschodu i zachodu. Przybywały tu również rozmaite gromady ludzkie. Tak więc ziemie te stały się przekaźnikiem wielu zjawisk kulturalnych na pozostałe rejony. Należy tu odnotować kultury z epoki kamiennej młodszej z cyklu naddunajskiego: kulturę ceramiki wstęgowej i malowanej, której ludność przyniosła uprawę ziemi i hodowlę zwierząt udomowionych, kultury amfor kulistych, pucharów lejkowatych i ceramiki sznurowej. Ostatnia z nich o przewadze gospodarki hodowlano-pasterskiej, koncentruje się nad Bugiem i na Wołyniu, a liczne jej znaleziska w Strzyżowie dały nazwę całej grupie; trwa ona od początków epoki brązu. Wrosła na niej i na innych substraktach kulturowych i etnicznych we wczesnej epoce brązu kultura trzciniecka (od znalezisk w Trzcińcu k. Opola) bywa uważana za zalążek kulturowo-etniczny Prasłowiańszczyzny.

Jej następczyni, kultura łużycka, która dociera na te ziemie od zachodu w środkowej epoce brązu, przynosi nowe formy, podobnie jak kultura późniejsza — początków epoki żelaza — zwana pomorską. Obie reprezentują elementy prasłowiańskie, składające się z różnych komponentów kulturowych przy znacznym oddziaływaniu południa. Być może, że docierają na terytorium lubelskie Scytowie. Około przełomu naszej ery obserwujemy tu słabe oddziaływanie kultury celtyckiej (Celtowie przebywali na Śląsku i w części Małopolski). Kontakty z prowincjami rzymskimi, słabe w pierwszych wiekach n.e., ożywiają się w III—V w., wśród importów szczególne znaczenie ma miecz inkrustowany (bogini Minerwa) z grobu w Podlodowie k. Tomaszowa oraz przedmioty zbytku, nie mówiąc o monetach srebrnych. Jeden z największych skarbów bursztynowych z V wieku, zawierający ok. 350 kg brył i paciorków, znaleziony w Basonii, znaczy ruchliwy w tym czasie wschodni szlak handlowy, kierujący się od Bałtyku ku Dniestrowi wzdłuż Wisły a następnie Bugu. Podobnie drugi skarb z V w. z Metelina k. Hrubieszowa, złożony ze złotych monet m. in. Konstantyna Wielkiego i Teodozjusza, świadczy być może o jakichś próbach politycznych wschodniego cesarstwa rzymskiego. Także piękne przedmioty odnalezione w Lublinie i w Zamościu były prawdopodobnie środkiem uzyskania pomocy militarnej od ówczesnych plemion. Zasób źródeł archeologicznych do prześledzenia pradziejów tego obszaru jest mniej niż skromny, mimo niewątpliwego bogactwa istniejących przesłanek wykopaliskowych; konieczne są więc dalsze badania. Dotyczy to także wczesnego średniowiecza (od VI do XIII w.), doby wczesnofeudalnej.

Gród w Chodliku koło Opola Lubelskiego, będący najpewniej jednym z peryferyjnych ośrodków „państwa" Wiślan w VII—IX w., to największy obiekt na Wyżynie Lubelskiej. Być może, że dalsze badania w Lublinie potwierdzą również obecność grodu Lubla w tych wiekach. Cmentarzysko kurhanowe z grobami ciałopalnymi w Lipsku k. Zamościa przyniosło różne formy pochówkowe tego okresu. Jedyny dotąd w części zbadany zespół osadniczy, rozwijający się w widłach Huczwy i Bugu na terenie wsi Gródka, rejestruje tworzenie się ważnego ośrodka wczesnofeudalnego w wiekach VII—X w okresie „państw" plemiennych (zaginiony gród Wołyń). Nie rozstrzygnięto dotąd lokalizacji terytoriów związku plemiennego Lędziców, których nazwa pochodząca od lędów wypaleniskowych dała ruską nazwę Lachów, węgierską Lengyel, litewską Lenkas. Jedni widzą ich nad Wisłą w Sandomierskim, drudzy w Lubelskiem; są jeszcze inne poglądy.

Liczący ponad 1000 monet arabskich skarb kupiecki (?) z Czechowa koło Lublina dowodzi handlu ze światem arabskim. Szlaki jego prowadziły przez Lubelskie i Małopolskę. Współczesny dokument Mieszka I mówi już o granicy wschodniej państwa polskiego — o Rusi Kijowskiej. Na przełomie X/XI w. widoczne są oddziaływania rzemiosł ruskich — czytelne przede wszystkim w ceramice, której cechy różnią się wyraźnie od poprzedniej, bogatej w wątki zdobnicze. Jest to zapewne echem politycznej działalności Rurykowiczów i pierwszych Piastów.

W tym okresie powstaje znaczny gród Sutjesk (dzisiejsza Sąsiadka koło Szczebrzeszyna), a nieco wcześniej Czerwień w widłach Huczwy i Siniuchy koło Tomaszowa (dziś Czermno). Ten największy w Lubelskiem zespół osadniczy — duży ośrodek stołeczny — zabezpiecza od wschodu wał zaporowy długości 7 km. Do potężnego grodu i podgrodzi prowadzi droga — grobla (3 m dług.). Trójkątny rynek targowy, cmentarze oraz kościółek na podgrodziu mówią o jego wielkiej roli na pograniczu polsko-ruskim i o formach urbanistyki. Całkowitą zagładę przynosi mu najazd tatarski Batu-chana w roku 1241. Wczesnośredniowieczne dzieje jak i pradzieje lubelskie w oparciu o źródła archeologiczne są zaledwie rozpoczętą kartą.

Wynika to z ograniczonych badań archeologicznych, które — mimo podziwu godnych wysiłków 4-osobowego grona archeologów lubelskich — niezbyt szybko wniosą obfitszy zasób źródeł wykopaliskowych do znajomości prehistorii i wczesnej historii tego tak kluczowego obszaru ziem polskich. Wprawdzie placówki archeologiczne warszawskie, a ostatnio krakowskie nie pomijają tego rejonu, to jednak bez wzmocnienia miejscowego ośrodka długo jeszcze potrwają prace badawcze. Lubelskie jest dotąd największą (w przenośni) łuką źródłową jak i zabytkową. Wymieńmy tu choćby zagadnienie oddziaływań tzw. państwa wielkomorawskiego oraz problem kształtowania się „państw" plemiennych, nie mówiąc o dobie pierwszych Piastów. Ujawnić kulturę materialną wczesnego średniowiecza i epoki pradziejowej może tylko przysłowiowa łopata w rękach archeologów.

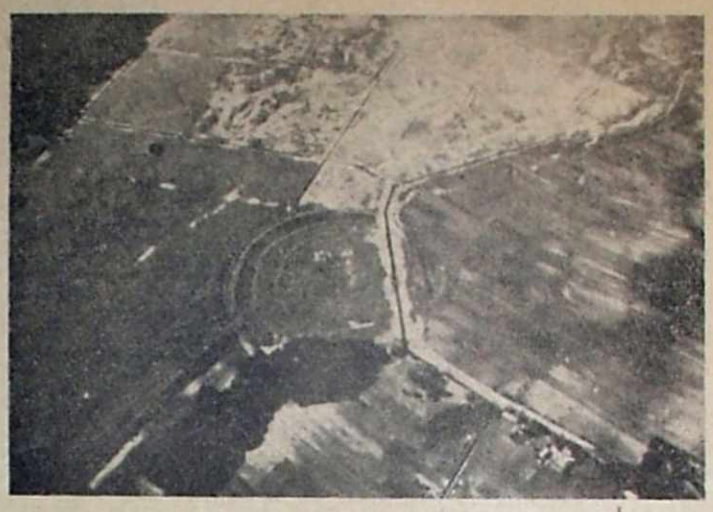

Wielkie grodzisko w Chodliku z VI—VIII w. ujęte z lotu ptaka.
Fot. Kazimierz Bielenin

Karpackie bramy wczesnego średniowiecza

JÓZEF JANOWSKI

PRZEŁĘCZE karpackie wpływały we wczesnym średniowieczu na rodzaj i charakter migracji pokojowych, nie pozostawały też bez wpływu na podejmowanie decyzji mających na celu ekspansję militarną.

Obniżenia karpackie ułatwiły np. Hunom penetrację naszych ziem (ok. połowy V w.). Przez przełęcze karpackie przenoszono również przedmioty awarskie; w naszym ciągu dyskusyjny jest jednak sposób ich „transportowania". Być może sprawne drużyny awarskie zainstalowane w Panonii i Słowacji docierały w ciągu VIII w. do Polski. Większość jednak badaczy przypuszcza, że były to kontakty handlowe.

Po ostatecznym rozgromieniu Awarów w 802 r. Węgry zachodnie przeszły pod władzę frankońską, która dążyła do zwiększenia liczby ludności, zdziesiątkowanej niedawną wojną. I chociaż jest to rzeczą dyskusyjną, jednak nie można zupełnie wykluczyć, że częściowo nowymi osadnikami byli Słowianie zachodni. Wykopaliska w Zalavar, miejscowości znajdującej się około 9 km na południowy wschód od Balatonu, nie przeczą tym sugestiom. Mielibyśmy więc kolejny przyczynek do odtworzenia charakteru i roli Bramy Morawskiej w owym czasie, tym ciekawszy, że związany z działalnością Franków.

Przed sformowaniem się państwa polskiego znaczenie obniżeń karpackich było oceniane i rozumiane przez wcześniejsze organizmy państwowe. Już państwo morawskie dążyło do opanowania i kontrolowania drogi ruskiej w dogodnym miejscu, jakim jest Brama Morawska. Podobne tendencje widać u Polan, którzy przez środkową Polskę grawitowali ku międzyrzeczu Wisły i Bugu.

Takie nazwy jak Twierdza, Zawada, Wrocanka, umiejscowione w najbliższym sąsiedztwie obniżeń karpackich, są od dawna rozpatrywane i interpretowane w nauce w ścisłej łączności z topografią. W świetle tych badań jest prawdopodobne, że południowa granica państwa polskiego była w XI i XII w. broniona i kontrolowana przez coraz ściślejszy pierścień grodów. Związane topograficznie z obniżeniami karpackimi, grodziska wczesnośredniowieczne dowodzą jednocześnie, że przełęcze były terenem zainteresowania nie tylko władzy, która zasięgiem swojego panowania obejmowała przełęcze lub ich przedpola, ale i tych zbiorowości ludzkich, które z przełęczy mogły, względnie musiały korzystać.

O „przymusowym" wyborze przez św. Wojciecha drogi prowadzącej przez Przełęcz Dukielską napisał Henryk Kapiszewski w tomie IV Acta Archaeologica Carpatica.

Po północnej stronie Przełęczy Wojciech Sławnikowicz zatrzymał się jakoby w Krośnie, o czym właśnie mówi miejscowa legenda: „W pogańskiej gontynie otoczonej świętym gajem Wojciech miał kazanie". Podjęte w miejscu domniemanego zatrzymania się Wojciecha badania archeologiczne wykazały konkretne osadnictwo z wczesnego średniowiecza. Tylko nieliczne materiały, uzyskane z tych badań, wskazują, że ich chronologia mogłaby ewentualnie sięgać końca XII wieku. Trzeba jednak podkreślić, że prace wykopaliskowe są dopiero w początkowym stadium, a inne materiały, odsłonięte mniej więcej w centrum dzisiejszego miasta w widłach Lubatówki i Wisłoka, wyznaczają na wiek X osadę wczesnośredniowieczną. Nie ma więc żadnej przesady w tym, że w X w. po północnej stronie Przełęczy Dukielskiej prowadziła droga, strzeżona przez grodzisko w Wietrznie w pow. krośnieńskim. Jednocześnie należy wspomnieć o przełęczach Łupkowskiej i Użockiej, których znaczenie gospodarcze w okresie wczesnego średniowiecza w dużym stopniu może być wiązane z występowaniem źródeł solnych, a więc produkcją soli i jej transportem.

Znaczenie obniżeń karpackich dla spraw politycznych ilustruje fakt udziału drużyny węgierskiej w wyprawie Bolesława Chrobrego na Ruś, wcześniej zaś wyprawy samego Bolesława do Czech. Nie mniej ciekawi, którymi drogami szedł Bolesław Chrobry w okolice Ostrzychomia, aby spotkać się tam z królem Stefanem, jak również jego powrót do Polski drogą przez Solivar.

Wracając do systemu ochronnego przełęczy nie można pominąć wzmianki Długosza z 1124 r. o napadzie Włodzimierza, syna Wołodara Księcia Przemyskiego, który, korzystając z wyprawy Bolesława Krzywoustego do Danii, wtargnął do Polski i „rozniósł po kraju grabieże aż po miasto Biecz". Jeśli Biecz nie został ograbiony, zawdzięcza to tylko silnym obwarowaniom. Być może spełniał on funkcję strażnika trasy związanej z obniżeniem w kierunku Bardijowa.

Aczkolwiek poruszone zagadnienia są od szeregu lat dyskutowane, to jednak nie rozstrzygnięty jest problem, w jakim czasie Karpaty stanowiły barierę dzielącą, a kiedy i z powodu jakich konkretnie przyczyn były przekraczane. Wydaje się być jednak bliskie prawdy to, że przełęcze karpackie częściej łączyły niż dzieliły.

Kość do gry wydobyta z grobu popielnicowego w Sieciechowie.
Fot. Tadeusz Biniewski

Radomskie poszukiwania

WOJCIECH TWARDOWSKI

KIELECCZYZNA od dawna leży w kręgu zainteresowań archeologów i historyków. Kiedy popatrzymy na mapę stanowisk archeologicznych, usianą licznymi punktami oznaczającymi osady i cmentarzyska ludności zamieszkującej dawniej te ziemie, uderzy nas jednak zadziwiająca dysproporcja ilościowa pomiędzy południową a północną częścią, na niekorzyść tej ostatniej. Czyżby obszary do niedawna zajęte przez kompleksy leśne puszczy radomskiej, tereny ziemi radomskiej i opoczyńskiej stanowiły w czasach starożytnych pustkę osadniczą, gdzie tylko niekiedy pojawiały się przypadkowe grupy ludzkie, nie zagrzewając tu dłużej miejsca?! Otóż nie. To przede wszystkim stan badań archeologicznych nie pozwala na przedstawienie prawdziwego obrazu osadnictwa w dawnych wiekach.

Północnymi terenami województwa kieleckiego zajmowało się dotychczas niewielu badaczy. Chociaż już w r. 1873 w I numerze „Wiadomości Archeologicznych" ukazuje się „Opis mogiły-kurhanu pod Łęgonicami" przez Kaliksta Jagmina, dopiero w początkach XX w. Wawrzeniecki wraz z redaktorem Jastrzębowskim przeprowadzają systematyczne jak na owe czasy badania zwiadowcze w dorzeczu Radomierzy, Wiązownicy i na wielu stanowiskach wydmowych w okolicach Radomia. Wiadomości przez nich zebrane do dzisiaj są pomocne przy odnajdowaniu stanowisk. Omawianym terenem zajmowali się sporadycznie także inni naukowcy, m. in. S. Krukowski, J. Gąssowski, K. Salewicz, S. Nosek, H. Sznuro.

Od kilku już lat ekspedycja wykopaliskowa IHKM Polskiej Akademii Nauk, kierowana przez mgr Ewę Kierzkowską, zajmuje się badaniem osadnictwa wczesnośredniowiecznego w obrębie Radomia. O istnieniu Radomia w XII w. mówią skąpe źródła pisane, dostarczając jedynie nader lakonicznych danych. Dopiero badania archeologiczne na dużą skalę dały więc pełniejszy obraz panujących tu stosunków w okresie tworzenia się miast i początków państwa. Prace ekspedycji doprowadziły do odkrycia osady trwającej od IX, a być może od VIII w., grodu z w. X, drogi moszczonej drewnem, prowadzącej prawdopodobnie od grodu w stronę rzeki Mlecznej. Wiemy, że gród otoczony był fosą i wałem. Stan zachowania utrudnia bliższe rozpoznanie obiektu, tak, że najwięcej materiału daje w tym wypadku osada.

Wydobyto tam wiele zabytków metalowych, wyrobów z kości i rogu (m. in. łyżwę kościaną), duże ilości paciorków szklanych, narzędzia drewniane codziennego użytku, wiele materiału ceramicznego, przęślików i resztek naczyń glinianych. W torfiastej ziemi doliny Mlecznej stwierdzono istnienie wielu jeszcze pozostałości dość dobrze zachowanych budynków gospodarczych i mieszkalnych (drewniane ściany układane na zrąb). Natrafiono na ślady pracowni rogowiarskich, na świadectwo wyrobu miejscowego żelaza, a być może i szkła, oraz na wiele jeszcze innych przejawów życia dawnych mieszkańców Radomia. W zasięgu oddziaływania ośrodka radomskiego odkryto także inne stanowiska: cmentarze i osady.

Istniejący od 1964 r. Dział Archeologiczny Muzeum Regionalnego w Radomiu postawił sobie za cel możliwie równomierne rozpoznanie tych zamierzchłych epok w rejonie północnym i to zarówno pod względem terytorialnym jak i kulturowym. Prowadzone są w tym celu liczne badania powierzchniowe, zwiadowcze i prace wykopaliskowe.

Już z dawnych badań S. Krukowskiego wiadome było, że pod koniec starszej epoki kamienia, kiedy to lodowiec cofając się na północ uwolnił zajęte uprzednio tereny, na wydmach doliny Radomierzy przebywały ruchliwe grupy myśliwych i wędrownych zbieraczy. O ich pobycie świadczą pozostawione na wydmach narzędzia, odpadki i rdzenie krzemienne występujące w tzw. gniazdach, pozostałych po dawnych pracowniach krzemieniarskich. Obok znanych już stanowisk z tego czasu (m. in. w Gulinie, gdzie S. Krukowski wyróżnił odrębny przemysł guliński) odkryto nowe punkty występowania tego rodzaju zabytków we wsi Bielicha i Natolin w powiecie radomskim.

Młodsza epoka kamienia jest słabo reprezentowana w znaleziskach i odkryciach rejonu północnego. Dopiero pod koniec epoki wkraczają na omawiany obszar kultury neolityczne, które przez długi okres trwania przystosowały się do rozmaitych warunków bytowania. Są to kultury ceramiki sznurowej i pucharów lejkowatych (np. w Januszowicach pod Opocznem).

Wraz z początkiem nowego okresu dziejów, wnoszącego w życie ówczesnego człowieka znajomość obróbki metali, miedzi i brązu, zwiększa się obszar penetracji liczniejszych grup ludzkich. Liczba stanowisk znanych z tego czasu jest więc większa niż w okresach poprzednich. Jak wykazują nowe, dość częste znaleziska, nasza wiedza o tym okresie oparta była na bardzo znikomym wycinku faktów.

Najczęściej spotykane na wydmach i piaskach Radomskiego są cmentarzyska ciałopalne z epoki żelaza, należące do kultury grobów kloszowych. Groby kloszowe mają zresztą ciekawą budowę: przepalone kości zmarłego znajdują się w popielnicy, przykrytej zazwyczaj misą i dodatkowo dużym naczyniem-kloszem.

Dalszy etap epoki żelaza wiąże się z wpływami rzymskimi. Plemiona zajmujące ziemie polskie zetknęły się z cywilizacją Celtów i Rzymian, przyjmując od nich wiele wynalazków. Znane dotychczas materiały z tego okresu, pochodzące z rejonu północnego, to przede wszystkim luźne znaleziska ocalałe z nielicznych zniszczonych cmentarzysk. Obecnie znamy już kilka osad w dolnym biegu Radomierzy i nad Pilicą. W Jaszowicach w pow. radomskim stwierdzono na powierzchni występowanie brył żużla żelaznego wraz z ceramiką okresu wpływów rzymskich. Na miedzy leżał kloc żużla pochodzący prawdopodobnie z dawnej dymarki. Byłoby to jedno z najdalej wysuniętych na północ stanowisk hutniczych (w promieniu oddziaływania świętokrzyskiego centrum hutniczego). W Sieciechowie w pow. kozienickiem odnaleziono grób dwupopielnicowy, bogato wyposażony w broń żelazną: miecz rytualnie złamany, dwa oszczepy, okucia od dwu tarcz, nożyce i nożyk. W jednej z popielnic znajdował się interesujący przedmiot kościany interpretowany jako kość do gry.

Przemyśl we wczesnym średniowieczu

(Dokończenie ze str. 7)

Mikołaja, datowana na przełom XI/XII w., nasuwa przypuszczenie o istnieniu tutaj osady, być może targowej.

Handlowa rola ówczesnego Przemyśla była bardzo poważna. Świadczy o tym kolonia kupców żydowskich z połowy XI wieku. Oprócz uczonego — kronikarza hebrajskiego Jehudy ben Meir'aha — Kohena, również geograf arabski Idrisi w „Traktacie o geografii powszechnej" zwanym też „Księgą Rogera" (1154 r.), wymienia Ramisli (Przemyśl) w ziemi Sudumera (Sandomierz).

Różne przedmioty — głównie importowane — odnalezione w czasie badań archeologicznych wskazują na żywe kontakty miasta z Bizancjum i krajami arabskimi, świadczą o położeniu Przemyśla na szlaku Kijów — Praga — Ratyzbona.

W XI—XII w. Przemyśl stał się dużym ośrodkiem, składającym się z szeregu mniejszych osad, rozproszonych na tarasach nadsańskich.

W problematyce badawczej wczesnośredniowiecznego Przemyśla interesująca jest sprawa dostania się miasta pod panowanie dynastii książąt ruskich Rurykowiczów (od r. 1087). Co było przyczyną ekspansji? Czy nie chęć opanowania szlaku handlowego na zachód Europy, jak to sugeruje wybitny orientalista prof. Tadeusz Lewicki, lub może pokładów soli w rejonie przemysko-sanockim?! Opierając się na dotychczasowej bazie źródłowej trudno odpowiedzieć na te pytania jednoznacznie. Nie wiadomo nawet, czy w toku dalszych badań uda się wyjaśnić wspomniane zagadnienia.

Niezmiernie ważnym problemem jest sprawa przynależności etnicznoplemiennej ludności zamieszkującej górne dorzecze Sanu w wiekach od VI do X. Czy nie zamieszkiwał tutaj jakiś odłam plemienia Chorwatów, których wielu badaczy lokalizuje w górnym dorzeczu Sanu i Dniestru?

Antoni Kunysz

Sympozjum musicali

(Recenzja w 2 częściach)

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

W ZESZŁYM roku „My Fair Lady", teraz „Kiss me, Kate" — mamy więc w Lublinie drugi już „szałowy" musical amerykański. Tamten jest przefasonowanym „Pigmalionem", ten powstał na bazie „Poskromienia złośnicy". Mimo woli przychodzi mi znów do głowy refleksja sprowokowana dwojakim znaczeniem przymiotnika *fair* — piękny i rzetelny, choć tym razem nie ma go w tytule. Otóż przesławny musical Loewego i Lernera był na pewno *fair* w sensie pierwszym, jako widowisko wybitnie ładne i atrakcyjne, nie był natomiast *fair* — rzetelny w odniesieniu do swego pierwowzoru. Albowiem owa „Lady", żerująca bez żenady na sztuce Shawa, wykorzystała nie tylko jej intrygę nieomal scena po scenie, ale i dialog, rozcieńczając jednak gdzieniegdzie i wyjałowiając dowcip G.B.S. tak dalece, że otrzymaliśmy w rezultacie romans między „biedną, dumną kwiaciarką" a całkiem operetkowym filologiem.

Twórcy krnąbrnej „Kasieńki" byli bardziej lojalni względem Szekspira. Zapożyczyli wprawdzie z „The Taming of the Shrew" nieco fabuły, lecz ostatecznie sam Szekspir zapożyczył ją z anonimowej komedii o prawie identycznym tytule (The Taming of a Shrew"), opartej z kolei na „Domniemanych" Ariosta. Tedy można z czystym sumieniem podziwiać pomysłowość librecistów, państwa Belli i Samuela Spewack, którzy wziąwszy na warsztat nieprzemijająco aktualny temat „sposobu" na kapryśną i gderliwą żonę (nie triumfujcie, Panowie, Fletcher napisał ciąg dalszy „Poskromienia złośnicy" pt. „Poskromiony poskromiciel"), zdobyli się na własną uzupełniającą akcję. Rzecz bowiem dzieje się w jednym z teatrów wielkomiejskich USA i mamy z punktu przed oczami niejakiego Freda Grahama, pisarza, dyrektora tudzież aktora w jednej osobie, oraz jego byłą żonę, gwiazdę filmową „Lilli Venessi". Ci dwoje źle się kochają, naczelnym zadaniem musicalu jest, żeby się w końcu pokochali na dobre. Przyczyni się do tego premiera „Poskromienia złośnicy" (czy „Ugłaskania sekutnicy" — jak kto woli). A więc „Daj buzi, Kate" — to właściwie wariacje na temat „Poskromienia", c y t u j e s i ę tu, rzec można, kilka scen z komedii szekspirowskiej. Tyle że w „cytatach" dialog elżbietański jest dość gęsto przeplatany jędrniejszą „mową" nam współczesną, iście big-beatową zwłaszcza w tekstach muzycznych. Słowem, libretto przyrządzono jakby według anegdotycznego przepisu na pasztet na pół z zająca — jeden zając i jeden koń. W gruncie rzeczy nie popełniono żadnego świętokradztwa, bo „Poskromienie złośnicy", wczesna komedia Szekspira, acz pełna wdzięku, nie obfituje w głębsze myśli czy w kwiaty poetyckie.

Muzyka Cole Portera przyjemna, pieściwa, tu i ówdzie coś przypomina, ni to z Schumanna, ni to z Kalmana. Mnie, przyznam się, najwięcej podoba się tu „Danza" ...Rossignego zagrana „z fajerem" przez orkiestrę pod batutą Władysława Kabalewskiego.

To „Pocałuj mnie...", wśród różnych większych i mniejszych zalet, ma jedną nieocenioną: jest w miarę krótkie. Lubelska Operetka wystawiła musical starannie, w gościnnej reżyserii **Michała Śląskiego**. Obawiam się jednak, że spektakl opiera się w głównej mierze na doprawdy fenomenalnej kreacji **Witolda Kałuskiego**, a ten świetny aktor dramatyczny i śpiewak zagra sobie w Lublinie parę razy i powróci do stolicy. Kałuski ma bogaty głos, piękną aparycję, moc wdzięku i werwy. No i ta znakomita dykcja. Krótko mówiąc, Graham — Petruchio w tym wykonaniu wydatnie podnosi rangę przedstawienia.

W postacie Lilli i Kasi wcieliła się na premierze z sukcesem **Barbara Podczaska** (wydaje się, że głos artystki ostatnio bardzo się rozwinął). Sympatyczni wodewiliści, **Wanda Mikulska** i **Marian Josicz**, zaprezentowali się najkołrzystniej w duecik „Ale jestem, luby mój, wierna tylko tobie" — całe szczęście, że nie bardzo dolatywały takie arcyteksty, jak: „Ze mną nikt, chociażby pękł, Nic nie wskóra przez sam wdzięk, Lecz gdy słyszę złota brzęk, To już, to siup" (O, Szekspirze! O, Minkiewiczu!).

Para aniołów-stróżów Lilli, vel gangsterów I i II (**Paweł Wojtczak** i **Jerzy Ambroziak**) też miała swój efektowny numer pod brawa — „Czytaj Szekspira, od niego się ucz", a **Henryk Łabuński** jako szekspirowski Baptysta, ojciec dwóch dziewic na wydaniu, miał postawę odpowiednio dostojną. Reszta obsady wykonała sprawnie swe skromne zadanie.

Balet? A więc w projektach choreograficznych **Wandy Bończy** przejawia się interesująca tendencja do rozbijania tradycyjnych skojarzeń grupowych, niestety jednak realizacja koncepcji nie była frapująca.

Chóry natomiast brzmią czysto, co w dużym stopniu jest zasługą **Tadeusza Chyły**.

Dekoracje **Bolesława Kamykowskiego** nie olśniewają widza luksusem amerykańskim, ale kostiumy — te szesnastowieczne — są ładne.

W sumie miłośnicy niefrasobliwych widowisk nie doznają zawodu.

* * *

Gorsza jest sytuacja przyjaciół Teatru im. J. Osterwy, gdzie wystawiono w tym samym czasie nie wiadomo po co „Happy end", również musical, powołując się z jednej strony na dzisiejszą modę, z drugiej na prekursorstwo anno 1929. Nie wiadomo też, dlaczego widz lubelski ma oglądać w bezpośrednim następstwie już to rodzimych chuliganów, już to amerykańskich gangsterów, przy czym bandziory made in USA wyglądają o wiele niewinniej i dobrotliwiej.

Program usiłuje nobilitować wątpliwą pozycję, znajdujemy w nim: podobiznę Bertolta Brechta, charakterystykę osobowości Brechta, życiorys Bertolta Brechta, spis dzieł Brechta, songi z finału „Opery za trzy grosze" itd. A czemuż, zapytajmy, nie powiedziano nic o Elisabeth Hauptmann, która to, pod pseudonimem Dorothy Lane, „nadała" sztuce „ostateczny kształt"? Dowiadujemy się jedynie, że „ściśle wtedy z Brechtem współpracowała". W jakim zakresie? Znowu „pasztet z zająca".

Jeżeli miało sens wystawiać w Lublinie coś „z kręgu i inspiracji brechtowskiej" wkrótce po tym, jak Teatr ZSP przy UMCS, „Gong 2", wystąpił w Studenckiej Wiośnie Teatralnej ze świetną inscenizacją „Pieśni i songi pana Brechta", a poznańska „Alternatywa" z brechtowską sztuką „Wyjątek i reguła" — jeśli miało sens, no to czy nie rozsądniej było zdecydować się na tak ważką pozycję artystyczną, jak „Matka Courage i jej dzieci"?

„Happy end" Dorothy Lane jest sztuczką słabą, mizerniejszą od niejednego debiutu naszych młodych dramaturgów, którym nie płaci się tantiem słonymi dewizami. „Społeczno - oskarżycielskie akcenty", mocno trącące myszką, nie uczą, prymitywny dowcip satyry na „amerykański styl życia" już nie bawi. I cóż Lublinowi po amerykańskiej Armii Zbawienia? (A może ma to być znowu „metafora"?).

Uważam za obowiązek prawdziwego przyjaciela naszego teatru otwarte stwierdzenie, że konkurując z Operetką i teatrzykami studenckimi teatr zawodowy obniża swoją rangę, bo wybiera sytuację zespołu amatorskiego, który nie posiada ani zawodowego wyszkolenia wokalnego i tanecznego artystów operetkowych, ani świeżości interpretacji, jaką zalecają się zespoły studenckie.

Wszystko w tym spektaklu wysokodewizowym było „ochotnicze", zaczynając od prologu, który przedstawiał kolejno członków rodziny aktorskiej po imieniu i nazwisku. Wstawkom filmowym (chwyt nie nowy) brakowało tempa i zabawnych „podskoków" filmu niemego, songi pod względem głosowym wypadły nikle, a niektóre teksty były w polszczyźnie grafomańskie i, nawiasem mówiąc, wręcz niesmaczne. Daleka jestem od pruderii, mam ucho zahartowane przez obfite d... i g....., rozbrzmiewające dziś na naszych scenach, wydaje mi się jednak, że taki „Domek bajzelmamy w Mandelay", podany z dość ekspresyjnym ruchem i gestem, jest nazbyt ostrym dysonansem nawet we współczesnej poetyce scenicznej.

Wiem, że narażę się niniejszą wypowiedzią całej obsadzie „Happy endu", aktorzy dramatyczni lubią wyżywać się niekiedy w śpiewkach i potańcówkach, ale, na miły Bóg, pamiętajmy i o widzu, o jego wychowaniu estetycznym. Zresztą wiadomo, że aktor nie zawsze ma chętkę na to, co służy jego istotnemu talentowi. Szkoda dla tego „Happy endu" takich dobrych aktorów i aktorek, jak Maria Szczechówna, Jolanta Bohdal, Ludwina Nowicka, Stanisław Olejarnik, Witold Lisowski, Zbigniew Sztejman, Włodzimierz Wiszniewski, Tytus Wilski, Roman Kruczkowski. Szkoda też reżysera, Zbigniewa Czeskiego. Szkoda, że nowego u nas aktora, Tadeusza Sabarę, zaprezentowano Lublinowi w niewłaściwej pozycji. Szkoda wreszcie scenografa, Jerzego Torończyka (ale cóż, jak rzecze Molier „Tu l'as voulu" ...cher Directeur!)

A nade wszystko szkoda, że nowy kierownik literacki teatru, kolega Jerzy Pleśniarowicz, znany z dobrego smaku i erudycji teatralnej, dotychczas nie otrzymał przyrzeczonego mieszkania w Lublinie. I nota bene — nie obrażajmy lubelskiej publiczności sugerując, jakoby upodobała sobie raz na zawsze tandetę sceniczną. Dowodem na przeciwne może być „Tango" Mrożka, które „robiło" niedawno dobrą kasę.

Witold Kałuski śpiewa: „Ach, gdzież te lata..."

Koniec zabawy Orłosia i innych

(Ciąg dalszy ze str. 1)

czywistego, w którym obracają się dorośli i którego naiwnym — pozornie! — podróżnikiem jest chłopiec, niejasno przeczuwający jakieś mroczne zło czające się na każdym kroku. Stąd te wyprawy balią w kierunku wyspy, „gdzie piasek niby jest taki sam, ale naprawdę jest inny, gdzie niebo także jest niebieskie, ale jak na nie popatrzeć, to zaraz widać, że jest inne, i gdzie ludzie niby są tacy sami, ale jak tylko pierwszy powie do ciebie słowo, to wiesz, że są inni — lepsi, tacy, jakich tu nie ma". Ale balia, zataczając koło, przybija do tego samego brzegu, bo wyspy szczęśliwej oczywiście nie ma na mapie tego świata, jest najwyżej „słońce, ciepły wiatr, gorący piasek na wydmach i morze, nad którym można tęsknić do czegoś, czego nigdy nie zobaczy się, ani nie dotknie". Zło nie posiada tu jednakże uzasadnień społecznych, psychologicznych ani metafizycznych, bo tego nie udźwignęłaby wątła w gruncie rzeczy fabułka. Zło ma wymiar jednostkowy czyjejś zdrady lub czyjegoś cierpienia. Dopiero perspektywa narracji chłopca stwarza ten spotworniały do kosmicznych rozmiarów konflikt „świętego" dziecka z rzeczywistością, przewrotnie umieszczony na tle najzwyklejszych realiów. Ma to, zdaje się, stanowić swoistą projekcję konfliktu bardziej „dorosłego": zderzenia się młodzieńczego nieokreślonego idealizmu, mitycznej tęsknoty do przyrody i do tzw. pełni życia, którym żaden świat nie jest w stanie sprostać, z życiem samym. I tylko o fakt owego zderzenia tutaj chodzi. Nawet nie o jego historyczne ukonkretnienie.

Problem więc „odwieczny". Zabawa w życie zawsze jest bardziej atrakcyjna od samego życia, można bowiem nad nią całkowicie panować. Literatura w sposób naturalny pełni tu — w aspekcie psychologii twórczości — funkcje mutacyjne oraz oczyszczające i stanowi dopiero przygotowanie do właściwej rozprawy ze światem.

Na fali ogólnego odejścia młodzieży literackiej w okresie popaździernikowym od problematyki tzw. pryncypialnej, co jest sprawą osobną, wymagającą obszerniejszego omówienia, tego rodzaju zainteresowania są zrozumiałe. Posiadają też wiele odgałęzień i charakterystycznych kontynuacji.

Bardziej jednotorową wersję tej problematyki prezentuje mikropowieść Nowakowskiego, Trampolina wydana w 1964 roku, lecz napisana równocześnie z dwoma wcześniejszymi zbiorami opowiadań „złodziejskich" tego autora. Stanowi ona zresztą fabularne rozwinięcie jednego z tamtych opowiadań — Skarbu w Srebrnym Jeziorze. Bohater utworu to trochę starszy od Pietrka chłopiec, który ucieka z nudnego domu rodzicielskiego, bo roi mu się „mocne" złodziejskie życie, rozgrywane w kategoriach romantycznej ballady podwórzowej: „Musi być czarna noc. Okrągłe światła latarń. Ten Wazelina i inni. Szybkie cienie". etc. Lecz rojenia wyrosłe na glebie literatury awanturniczej i dziecięcych zabaw w wojsko, zostają zburzone z kretesem w zetknięciu z rzeczywistością — z ponurą, biologiczną stroną egzystencji lumpów. Za światem nie skrywa się żadne barwne Eldorado — zamiast przygody jest tylko ciężka i bezwzględna walka o byt, zamiast miłości — sapiąca, gruba kurwa: „To wszystko, na co czekał wyjeżdżając z Zenonem do miasta, nie spełniło się. Tak niedługo jest w mieście, a wie, że nie spełni się już. „Wszawe, nudne sprawy" — myślał bezradnie". Pisarz łapie tu na gorąco moment pierwszego młodzieńczego rozczarowania i niepogodzenia z miałką rzeczywistością.

Nawet zrezygnowany i ustabilizowany, acz nie potrafiący tego wewnętrznie zaakceptować, „dojrzały" bohater debiutanckiej powieści Twerdochliba — Małe punkty (1965) — będzie poważnie wspominał te swoje dawne ciągoty: „Nie bawiły mnie na co dzień bandyckie przygody, ale ten wiersz mnie brał. Dławił w gardle. Fajna ferajna nas tak szła, Jim, Pat O'Kinah, Szpunt i ja...".

W zbiorze opowiadań Leszka Płażewskiego — Ktoś za drzwiami (1964) — podobna problematyka odziana jest w kostium fabułek z życia dojrzewających chłopców i dziewcząt ze środowiska robotniczego. Pozornie obiektywny narrator obserwuje to wszystko oczyma sentymentalnego i zarazem w swej naiwności okrutnego dziecka. „Ostatnio najdłużej z nią chodził. Aż do takiej największej sprawy, którą mogą zrobić chłopak i dziewczyna." — w świetle demonicznych erotyzmów współczesnej prozy to spojrzenie krystalicznie niewinne. Sztafarz marzeń bohaterów jest może skromniejszy niż u Nowakowskiego czy Orłosia, ale też konkretniejszy i łatwiejszy do jednorazowej realizacji. Chcą kogoś kochać, mieć wierną dziewczynę. Młody chłopak sprzedaje mieszkanie, które mu pozostało po matce, kupuje pierwszy w życiu garnitur i wyrusza nad morze. Ale z tej chwilowej wyprawy na wyspę szczęśliwą trzeba powrócić: nie ma domu, ludzie są obojętni, świat nie czeka z otwartymi ramionami, pozostają tylko pastelowe wspomnienienia tej pierwszej przygody; faktycznie zaś „skończyło się szare życie. A zaczęło się ciężkie." Bo nawet te skromne marzenia bohaterów Płażewskiego zostaną unicestwione. Nie ma prawdziwej miłości, są tylko spotkania w parku z przypadkowymi partnerami. Pozostaje jeszcze kompleks domu, zwykłego ludzkiego domu oraz domu — azylu, chroniącego przed obojętnością i okrucieństwem otoczenia. Aczkolwiek zło również nie posiada u Płażewskiego zbyt określonego wymiaru (stosunkowo najbliżej tu zagadnień obyczajowych), to konflikt między ludzkim marzeniem o miejscu na ziemi a faktycznym formatem egzystencji zostaje u pisarza wydźwignięty z płaszczyzny młodzieńczych rozczarowań na piętro ogólnej właściwości świata dorosłych. Jest tam stara kobieta, która powiada: „Czuję, że gdzie indziej będziemy mieszkać (...) jest tam ogródek, domek, kawał pola..." Nic z tego oczywiście nie wyjdzie: wyciągając przed siebie grube, pokryte żylakami nogi, kobieta powie — „Popatrz, to wszystko od roboty. Od żadnego chłopa nie dostałam ani złotówki. I teraz myślałam... (— urwała i pociągnęła płaczliwie nosem.)" Naiwny narrator zaś doda: „Ciotka była stara, strasznie stara i brzydka."

I za takim postawieniem sprawy kryje się faktycznie możliwość jakiejś metafizyki znużenia codziennością, kryje się rezygnacja i bierne płynięcie z potokiem zdarzeń, co usiłuje się kompensować jakimś małym outsiderstwem wewnętrznym (widoczne u Twerdochliba). Będą nawet próby „filozoficznego" uzasadnienia tej sytuacji. — Życie przeciętnego człowieka nie jest w gruncie rzeczy ani dobre, ani złe, ponieważ nie zostało obarczone żadnym znaczeniem. „Pomyślałem, że z dziadkiem Szczypy i z morzem to było tak, jak z książką, którą zamknie się na jakimś obrazku i jeszcze przez chwilę ten obrazek zostanie w oczach, a potem już nic" — w ten sposób skwituje narrator śmierć starego człowieka w drugim tomie opowiadań Orłosia.

Omawiany poprzednio konflikt, będący dalekim echem odwiecznej kontrowersji młodości ze światem urządzonym, zyskuje przedłużenie w problematyce: sprawiedliwa jednostka naprzeciw okrutnego świata, a następnie zostaje w powyżej przedstawiony sposób rozwiązany. Ale ten trop nie prowadzi we właściwym kierunku.

To bliżej nie określone zło (bo cieni zagadnień obyczajowych i psychologicznych nie można uznać za jego podbudowanie) stanowi diagnozę zbyt enigmatyczną i choć młodzi będą zapewne jeszcze powielać tę problematykę, odkrywając pewne prawdy od początku, jeśli im tylko historia nie przyspieszy życiorysu, to nigdy nie da się tu wyjść — mimo pozornie werystycznych fabułek i realistycznych obserwacji — poza odwieczny problem, o którym tak pisał Joyce w Portrecie artysty z czasów m ł o d o ś c i: „Przypomniał sobie (bohater) że również Newman słyszał tę nutę w elegijnych wierszach Wirgiliusza, dającą wyraz, podobnie jak głos samej natury, owemu bólowi i znużeniu, ale i nadziei lepszego życia, którą dzieci natury odczuwają każdego czasu".

Wszakże dojrzałość to intelektualne ogarnięcie i wyzwolenie się z tego konfliktu, jednak nie kosztem takiej czy innej rezygnacji, ale za cenę zrozumienia, że człowiek jest przynajmniej w pewnym stopniu twórcą swojego świata i że nie żyje poza nim, nie żyje w ogóle, lecz żyje historycznie i społecznie. Trzeba więc w pierwszym rzędzie ukonkretnić rozpoznanie. I młodzi pisarze poczynają sobie zdawać z tego sprawę, co znowu jest rezultatem naturalnego rozwoju ich biografii.

W opowiadaniach z drugiego tomu Orłosia, tych, które prezentują tę drugą fazę rozwoju, znika sprawiedliwy i święty narrator czy główny bohater, stojący niejako z boku rzeczywistości, dopiero zaczynający w niej uczestniczyć. Ten, kto opowiada, istnieje najczęściej wewnątrz — przeważnie w centrum — rozgrywających się zdarzeń. Te zaś odkrywają okrucieństwo człowieka i straszliwą obojętność w stosunkach międzyludzkich. A że narrator relacjonuje to jako rzeczy zupełnie zwyczajne, tonem beznamiętnym, a przy okazji w tym uczestniczy, więc utwory te stają się również jego oskarżeniem. Świństwo, okrucieństwo i obojętność świata jest naszym własnym codziennym dziełem. Ton autokompromitacji dźwięczy również w wyzwaniach narratora u Twerdochliba. Mała stabilizacja naszego świata to nasze własne lenistwo duchowe, ograniczenie naszych horyzontów, miałkość naszych pożądań.

Przy czym wszystko to już nie rozgrywa się na przecięciu dziecięcych nieokreślonych tęsknot i idealizmów z równie dziecięcym i niejasnym rozeznaniem świata, lecz rozgrywa się w jasnym słońcu współczesnej rzeczywistości w tym kraju. Oto u Orłosia przyjeżdża na wielką budowę socjalizmu młoda dziewczyna z dzieckiem, która nie mając gdzie się podziać, pragnie odnaleźć pracującego tu męża i zarazem ojca tego dziecka (narracja jest już tutaj całkowicie zobiektywizowana). W ciągu kilkunastu dni odbywa ona niekończące się wędrówki wśród ludzi budowy. Nikogo w gruncie rzeczy nie obchodzi ta jej najważniejsza sprawa. Jedni by się chętnie z nią przespali, drudzy ją po prostu przepędzają zdawkowymi informacjami z miejsca na miejsce. Dziecko tymczasem sypia w jakichś monstrualnych rurach. Wszystko jest w porządku, przemysł się buduje, a świat wykrzywia swoją anonimową gębę, potworną jak trupia maska oblanej smołą twarzy u człowieka, którego wyciągnięto spod kół jednego z samochodów budowy.

Natomiast Nowakowski — w Zapisie (1965) — przestał już penetrować marginesowe środowiska, lecz ukazawszy przeciętne życie współczesnego Polaka, przedstawił je ja-

(Dokończenie na str. 11)

List do autora „Wczoraj i przedwczoraj"

Drogi Konradzie!

Nie, nie bój się: nie zamierzam pisać recenzji. Wiem, że ze względu na długoletnią naszą znajomość, na więzy łączące nas od czterdziestu z górą lat, na jednoczesny prawie start literacki — mogłyby powstać zarzuty w rodzaju: „swój swego popiera", „starzy lubliniacy się reklamują" czy coś podobnego, słowem, że nie mogę być obiektywny. Otóż wcale taki być nie chcę. Twoje wiersze, choć przecie znane mi od dawna, ale teraz zebrane w jednej książeczce, potrąciły tak silnie i o! moje „wczoraj" i „przedwczoraj", że muszę skreślić do Ciebie ten bardzo subiektywny list.

A więc, kryjaku, nareszcie się odsłoniłeś. Pamiętasz, „kryjakiem" Cię nazwał Czernik w artykule „Poeci Lubelszczyzny" zamieszczonym w drugim roczniku „Kameny", a zatem przed trzydziestu dwoma laty. Narzekał wtedy, że choć drukowałeś sporo wierszy w czasopismach, nie postarałeś się o ich wydanie książkowe, że wskutek tego pozostałeś taki „niedostępny".

I przypomnę Ci jeszcze jedno: w n-rze 1 „Barykad" (r. 1932) w rubryce „kronika lubelska" obok wzmianki o mających się ukazać „Odlotach" Arnsztajnowej i wspólnej publikacji jej i Czechowicza „Stare kamienie" znalazła się jeszcze taka zapowiedź: „nakładem reflektora wychodzi tom konrada bielskiego „krew i whisky". O ile dwa pierwsze anonse znalazły wkrótce usprawiedliwienie w książkach, które się ukazały, o tyle na Twój zbiorek musieliśmy czekać aż do... dzisiaj. A może przybyło coś z wierszy po tym 1932 r.? Owszem — po dwu latach cztery: „Epos nasza", „Z wierszy o Kazimierzu", „Ewokacja" i „Legenda", sygnowane rokiem 1934.

Skąd ta niezwykła zwłoka? Zbiorek mógł się przecież ukazać jeszcze przed wojną pod projektowanym początkowo bojowym tytułem. Przecież w naszym wierszopisarskim gronie utwory Twoje umieliśmy niemal na pamięć. Nie tylko dlatego, że znaliśmy je z pism lubelskich, „Kameny" i warszawskiego „Zetu", ale przede wszystkim dlatego, że słyszeliśmy je tak często bezpośrednio z Twoich ust, kiedy podochoceni lekko alkoholem prowokowaliśmy Ciebie do wygłoszenia jego pochwały w tym Twoim popisowym w takich wypadkach wierszu zaczynającym się od słów: „Nudą rzygają żółte afiszów plachty", (Ta „nuda", spleen, chandra, jak kto woli, była wtedy dla poniektórych ówczesnych poetów modną pozą — epigonizm młodopolski w nastroju przy bardzo unowocześnionym warsztacie).

A więc znaliśmy doskonale i cenili Twoje wiersze, dopingowaliśmy Ciebie do ich wydania, co przecież nawet przy nieznalezieniu edytora nie przedstawiałoby żadnych trudności: tylu dobrych poetów wydawało swe zbiorki własnym sumptem pod fikcyjną firmą, aleś Ty wciąż zwlekał, obiecywałeś: wydam, wydam, poczekajcie trochę, chodziło Ci o bibliofilską szatę, a czas nieubłaganie upływał i w końcu mamy te same młodzieńcze, pełne temperamentu, zadziorne i przekorne strofy — pod paseistycznym tytułem „Wczoraj i przedwczoraj". Że niby słowa „Whisky i krew" czy odwrotnie szokowałyby czytelnika zorientowanego co do wieku autora. Myślę, że zestawienie: wczoraj i przedwczoraj chronologicznie nie jest słuszne. Wiersze Twoje — a pod każdym widnieje data — powstały między r. 1921 a 1934. Trzynaście lat. Niestety, Konradzie, to czasy dla nas przedwczorajsze. Zapominasz o wojnie, która nakreśliła tragiczną linię między tamtymi a dzisiejszymi laty. Więc „wczoraj" — to był Twój poemat „38 równoleżnik" (1954 r.). Tak jak „dzisiaj" — to Twe wspomnienia: „Most nad czasem" czy „Spotkania z Kazimierzem". To nic, że książki te traktują o dniu wczorajszym, lecz patrzysz nań przez pryzmat teraźniejszości.

Ale wracam do Twojego zbiorku. Niech sobie na okładce widnieją słowa mówiące o czasie. Dla mnie to jednak stare „Krew i whisky". Whisky, która dla Ciebie nie jest specjalną obsesją w życiu czy wierszach, choć nigdy nie gardziłeś kieliszkiem w gronie zacnych towarzyszy, choć głosiłeś „religię alkoholu", choć pozując na nudę twierdziłeś, że to „jedyne, co nam pozostało" Whisky, która u Ciebie raczej jest rekwizytem poetyckim: „Wczoraj byłem wieczorem pijany" (Polityka), „I coraz częściej winem oszałamiam głowę" (Erotyk), „Co noc żłopiemy wińsko" (My!), „W barach sprzedają wódkę i piwo" (Kres), „winem złotawym, szklanką czystej wódki oszałamiamy głowy" (Do przyjaciół), „dyskretny pobrzek kieliszków" (Epos nasza), „Rudy pił czystą wódkę z szklanej pękatej butli" (Legenda). Ale to tylko rekwizyty, bo w istocie zdawałeś sobie dobrze sprawę, że „jesteśmy spragnieni innego alkoholu". Tym alkoholem może być zarówno miłość (w „Domu narożnym" czy w „Kresie"), jak podróże i przygody (w kinie, książce czy marzeniach), egzotyka („Legenda") czy wreszcie kazimierzowskie „zapachy róż, bzu i jaśminu". A może te ostatnie właśnie najbardziej, dziś zwłaszcza, ale stwierdziłeś to już w r. 1934. Bo przecież: „szedłem naprzeciw przygodzie, a nie wiedziałem, że jest tak blisko".

I wiesz, Konradzie, te ściszone, subtelne Twoje liryki są mi bliższe od obliczonych na efekt i epatowanie takich utworów, jak bluźnierczy „Dytyramb szatański", cyniczne „Do przyjaciół", sybarycko-gastronomiczny, ekstrawagancki „Złoty osioł", (nie mający nic wspólnego z Apulejusem: „muza moja jedzie na złotym ośle", „słońce o wschodzie błysło na zadku złotego osła" to raczej pendant do „żółtego kaftana" Majakowskiego czy jesieninowskiego „cóż z tego, że się wydaję cynikiem, który przypiął latarnię do zadka") czy nawet „Oda", którą zresztą lubię, ale nie w czytaniu, tylko w Twojej interpretacji. Zwłaszcza urzekają mnie „Dom narożny", „Muza", „Kres", niektóre fragmenty „Legendy", a przede wszystkim niesamowita (Ewers? Meyrink? Grabiński? A może seanse Wacia Gralewskiego?), świetna w obrazowaniu „Ewokacja". „Bardzo jest trudno wywołać z ciemności jakiegoś ducha". Strawestuję: bardzo jest trudno napisać taki wiersz.

Chciałem Ci się, Konradzie trochę wywnętrzyć z myśli i wrażeń, które powstały przy czytaniu Twej książki. O obrazowaniu, odkrywczej (nie tylko wtedy) metaforyce, a przed wszystkim niezwykłej prostocie i czytelności tych wierszy pisać nie będę: od tego są recenzenci. Ale na zakończenie dodam jedno: dokonałeś dużej selekcji swoich utworów dając ich tylko 17 (w dorobku lat trzynastu, a więc wypada nieco więcej niż jeden wiersz rocznie), słusznie uważając, że nie ilość, ale jakość jest ważna. Ale dlaczego nie włączyłeś do zbiorku dwu zupełnie dobrych liryków zamieszczonych w n-rze 1 i 2 lubelskiego „Nowego Życia" — „Erotyku" drukowanego pod pseudonimem Wacława Ziemica i uroczego w naiwności „Obrazka na pudełku tytoniu", pod którym widnieje zmyślone nazwisko — Tomasz Ptak? Sądzę, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że jeszcze przytoczę tu ten „Obrazek", który śmiało mogłeś wciągnąć do swej książeczki.

Dziewczątka bardzo ładne, powabne hurysy,
chodzą z twarzą zakrytą jedwabnym woalem.
Są wonne jako róża, smukłe jak cyprysy,
przez szybki kolorowe spoglądają z żalem.

A tam, w chacie drewnianej, na krainym dywanie
siedzi Turek brodaty, mądry jak Mahomet.
Oczy mędre jak fosfor, fajka na kolanie,
dym się nad nim przewija jak ogony komet.

Nad miastem wschodzi zwolna księżyc na młodziku,
dwa tysiące księżyców spogląda mu w oczy.
Turek powstaje, popiół strząsa na kamyku,
przez długie korytarze bezszelestnie kroczy.

Dziewczęta w białym blasku zdejmują swe szaty,
księżyc sączy poświatę z niebieskiego kranu.
Turek zbiera w ogrodzie tytoniowe kwiaty
i szepce mądrym głosem wersety Koranu.

No chyba dość już tego. Bywaj!

KAJ

Przymus w leczeniu zmniejsza zaufanie do lekarza

ROMAN MICHAŁOWSKI

W numerze 20 (153) „Kameny" ukazało się streszczenie dyskusji lekarzy i prawników pod tytułem „Szpital to nie kryminał". Dyskusja dotyczyła problemów etyki lekarskiej i konfliktów prawnych, przed jakimi nieraz stają lekarze w swojej praktyce. Obecnie w tej samej sprawie zabiera głos doc. dr H. Michałowski, kierownik Kliniki Dermatologicznej Akademii Medycznej w Lublinie, który m in. wykłada propedeutykę lekarską dla studentów I roku AM.

ROZPOCZNĘ od truizmu, że zdrowie człowieka stanowi jego najwyższe dobro. Zazwyczaj zdrowy człowiek nie zdaje sobie sprawy z posiadania tego dobra. Zdrowie swoje uważa za sprawę zupełnie prawidłową i sądzi, że nigdy chorował nie będzie. Zwłaszcza młodość i pełnia sił fizycznych utrzymuje go w tym mniemaniu, tym więcej, jeżeli nigdy poprzednio nie chorował. O nieocenionej wartości zdrowia przekonuje się wówczas, gdy poczyna je tracić, a zwłaszcza, gdy choroba, na którą zapadnie, jest ciężka i przewlekła, a często nieuleczalna. Nie trzeba podkreślać, że stan choroby zmniejsza możliwości życiowe człowieka, odbiera mu często możliwości pracy i zarobkowania, a także, co ma najdonioślejsze znaczenie, radość życia.

Co robi chory? Najczęściej dąży do odzyskania zdrowia i tu dopiero zaczyna się rola lekarza. Jeżeli choroba dotknie dziecko, to rodzice zabiegają o przywrócenie mu zdrowia, lub jedno z rodziców — matka, ojciec. Te starania są tym silniejsze, im to dziecko więcej kochają. Istotę działania lekarza stanowi gotowość niesienia pomocy każdemu choremu, gotowość bezinteresowna i pełna najlepszej wiedzy. I wówczas między lekarzem a chorym, który pragnie powrotu do zdrowia, zawiązuje się nić współdziałania. Trzeba dodać, że ten typ działania w zetknięciu chorego z lekarzem należy na szczęście do bardzo częstych.

Ale czy chory zawsze pragnie powrotu do zdrowia? Przed kilkoma laty zgłasza się do mnie starsza kobieta ze wsi. Jedna pierś w obrębie brodawki sutkowej zniszczona rakiem. Oględnie napomykam, że niechybnie będzie trzeba zasięgnąć porady chirurga. Panie doktorze, mówi chora, ja wiem, że to pewnie będzie rak. Nie będę się leczyć, chcę umrzeć, śmierci się nie boję. Czy mam prawo zmusić ją do leczenia? Czy rozporządzam jakimikolwiek środkami prawnymi ku temu? Nic mi nie pozostaje poza udzieleniem rady, poza perswazją. Chociaż wobec raka trudno mieć dzisiaj pewność, czy zabieg chirurgiczny sprowadzi wyleczenie, to jednak obowiązkiem moim w myśl zasady dawnych lekarzy „Sperare contra spem" było nakłaniać chorą do leczenia. Ale w tym przypadku to mi się nie udało i więcej wspomnianej chorej już nie widziałem.

Z kolei inny przypadek. Chory w wieku po 30, żonaty, mający dzieci i gospodarstwo na wsi. Kiedy służył w wojsku przebył bliżej nie określony stan zapalny narządów płciowych, jednak dokładne badania lekarskie nie wykazały kiły. Z przebytej choroby zwierzył się kolegom z kompanii. Ci przekonali go, że niechybnie jest to kiła, której lekarz nie rozpoznał. Chory więcej wierzył sugestiom kolegów, niż lekarzowi. Wrócił z wojska do domu, założył sobie rodzinę, miał dziecko. Żona była zdrowa i dziecko także. Żył jednak stale pod wrażeniem że zaraził się kiłą i choroba ta niszczy jego zdrowie. Na tle wyimaginowanej choroby rozwinęła się u niego fobia, którą my nazywamy wenerofobią. Przestał się zajmować swoją pracą, jeździł od jednego lekarza do drugiego. Zawsze słyszał, że zdrowiu jego nic nie brakuje, jednak zapewnieniom lekarzy nie wierzył. Pewnego razu zgłosił się również do mnie. Żadnych objawów przebytej kiły nie stwierdziłem. Pobrałem krew do badań serologicznych, którą wysłałem do dużego ośrodka analitycznego, aby wynik z takiego ośrodka mógł przekonać chorego o pełnym jego zdrowiu. Zapewniałem go, że zdrowiu jego nic nie zagraża, a wynik badania krwi z pewnością wypadnie ujemnie (w tym wypadku — dobrze). Chory pożegnał się ze mną, zapowiadając swój przyjazd za tydzień. Wydawał się być nie bardzo przekonany moimi zapewnieniami o jego zdrowiu.

Mija tydzień, otrzymałem ujemny wynik badania krwi. W oznaczonym dniu zgłasza się do mnie młoda kobieta, której nigdy dotychczas nie widziałem. Z oczu jej wyziera smutek i przerażenie. Dowiaduję się, że jest to żona mojego chorego, który był u mnie przed tygodniem. Mąż mój, mówi, już do pana doktora więcej nie przyjedzie —. Wczoraj późnym wieczorem, kiedy już wszyscy spaliśmy, mąż poszedł na strych i tam się powiesił, dzisiaj znalazłam jego ciało. Zapewne bał się, że analiza wykaże jego chorobę, wybrał śmierć niż pewność, że jest chory.

Mamy tu przykład wenerofobii, zakończonej samobójstwem. I znów należy się zapytać, co lekarz może choremu pomóc, kiedy pacjent w rzeczywistości jest zdrów, a uważa się za chorego? Jak mu pomóc poza stwierdzeniem stanu jego zdrowia, poza perswazją jego urojeń? Trzeba tu dodać, że fobie, czyli obawy przed pewnymi chorobami, trapią dużą ilość ludzi. Obawy chorób wenerycznych, chorób serca, a zwłaszcza raka odbierają sen i radość życia wielu z nich. Licznie odwiedzają lekarzy i domagają się leczenia za wszelką cenę. Leczyć czy nie leczyć? Oto jest pytanie trudne do rozstrzygnięcia. Dodajmy, że pacjenci dotknięci nozofobią stanowią najtrudniejszy rodzaj chorych. Niektórzy, jak wskazuje omówiony przypadek, winni być otoczeni opieką psychiatry. Ale nie każdy chory zgodzi się na tego typu opiekę. I tu zatem przymusu leczenia do tego rodzaju chorych zastosować nie możemy. Zresztą i lekarze nie psychiatrzy bronią się jak tylko mogą przed konsultowaniem nozofobów.

I wreszcie trzeci przypadek chronologicznie najwcześniejszy, sięga bowiem pierwszych lat mojej praktyki lekarskiej.

Pewnego dnia pod wieczór przybiega do mnie właściciel małego hoteliku, znajdującego się o dwa piętra wyżej od gabinetu, gdzie ordynowałem. Sprawa dotyczy młodej kobiety, która — jak można sądzić — otruła się przed kilkunastoma godzinami. W przeddzień wieczorem przyjechała do Warszawy z odległej prowincji. Dziś już nie pamiętam z jakiego miasta, być może był to Węgrów lub Sokołów Podlaski. Wynajęła w hotelu pokój. Ponieważ przez 24 godziny nie dawała żadnego znaku życia, zaniepokojona służba zajrzała do jej pokoju i znalazła ją tam nieprzytomną, leżącą w łóżku. Zastajemy młodą blondynkę. Śpi, ale tak mocno, że nie można jej dobudzić, tętno i oddech są ledwo wyczuwalne. Na nocnym stoliku obok łóżka dwie rurki szklane, opróżnione z luminalu i mała karteczka mniej więcej tej treści: „Nie ratujcie mnie. O śmierć swą nikogo nie obwiniam". Karetka pogotowia natychmiast odwiozła ją do kliniki. Mimo ratunku zmarła nazajutrz, nie odzyskawszy przytomności.

Pozwoliłem sobie przedstawić w tak obrazowy sposób trzy przypadki które charakteryzują 3 odmienne, a jakże podobne postawy ludzi w rozmaitym wieku i przedstawiają ich stosunek do własnego zdrowia i życia. W pierwszym z nich chodzi o kobietę rezygnującą całkowicie z leczenia, mimo zdawania sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie ta postawa sprowadza. W drugim nieoczekiwane samobójstwo młodego człowieka na tle urojonej choroby, mimo, iż znał opinię wielu lekarzy, że zdrowiu jego nic nie zagraża. W trzecim — samobójstwo młodej kobiety z góry rezygnującej z ratunku, i wszechstronna pomoc lekarska — niestety bez powodzenia.

Wybrane tu przykłady skłaniają do jednego wniosku, że chorego można leczyć tylko po uzyskaniu jego zgody. Mam oczywiście na myśli tych, którzy są pełnosprawni umysłowo i nieubezwłasnowolnieni. I tu popieram w całej rozciągłości pogląd wyrażany przez prof. dr Piątkowskiego w 20 numerze „Kameny": nie można stosować przymusu w leczeniu. Przypomnę, że na wykonanie nawet prostego zabiegu, jak pobranie krwi czy wycięcie małego fragmentu skóry do badania diagnostycznego, musimy uzyskać zezwolenie chorego. Ten warunek oczywiście nie obowiązuje lekarza, gdy chory znajduje się w stanie utraty przytomności, omdlenia lub szoku. Bo w takim wypadku winien on potrzebującemu udzielić jak najdalej idącej pomocy lekarskiej.

Ostatni problem idzie dziś znacznemu poszerzeniu wobec wprowadzenia do kliniki zabiegów, mających na celu ożywianie ludzi znajdujących się w stanie śmierci klinicznej (resuscytacja). Z punktu widzenia etyki lekarskiej, a także przepisu prawnego sprawy resuscytacji nie są ujęte w sprecyzowane ramy. Przede wszystkim powstaje pytanie, czy lekarzowi wolno i kiedy przerwać zabiegi resuscytacyjne i dozwolić choremu umrzeć biologicznie, czy też nie wolno przerywać tych zabiegów dopóki istnieje jeszcze iskierka nadziei. Ten ostatni punkt widzenia zapewne przeważy.

Operowałem dotychczas przykładami dotyczącymi dorosłych. Prawnym przedstawicielem dziecka są rodzice lub jego opiekunowie. Zatem oni dokonują wyboru lekarza i zapewne zawsze chętnie współdziałają z nim w celu doprowadzenia do zdrowia dziecka. Obowiązki lekarza względem chorego dziecka są analogiczne, jak względem dorosłych, z tą różnicą, że łączą się z dużo większą odpowiedzialnością. Nie wydaje mi się możliwe, aby w wypadku, który podaje redakcja „Kameny", można było zatrzymać dziecko w szpitalu bez zgody rodziców, niezależnie od jego stanu zdrowia. Nie ma do tego podstaw prawnych. Lekarz, który cieszy się dużym autorytetem wśród chorych, ma zawsze większe szanse przekonania rodziców o konieczności pozostawienia ciężko chorego dziecka w szpitalu, niż inny lekarz, nie rozporządzający takim poważaniem, jak jego kolega. Raczej należy działać drogą perswazji, przedstawienia grożącego dziecku niebezpieczeństwa oraz możliwości, jakimi dla ratowania go rozporządza szpital. Trzeba też wyjaśnić, co składa się na przyczyny powolnej poprawy w stanie zdrowia dziecka. Stosowanie przymusu w leczeniu zawsze zmniejsza zaufanie chorego do lekarza. W razie zaś zgonu małego pacjenta lekarz może czasem narazić się na cywilną sprawę sądową, ponieważ przymusowe zatrzymanie dziecka bez względu na intencję lekarza stanowi naruszenie praw rodzicielskich, co zresztą we wspomnianej dyskusji podkreślają także i prawnicy. Co więcej, rodzice będą zawsze myśleć, że gdyby udali się do innego lekarza, to może dziecko pozostałoby przy życiu.

Pamiętajmy, że lekarz jest doradcą chorego, lecz nie zawsze jest doradcą jedynym, nieomylnym. To też można skorzystać także z rady innych lekarzy. I trzeba na to choremu pozwolić. Wprawdzie niektórzy się gniewają, że pacjent udał się po pomoc do innego lekarza. Ale nie należy się temu dziwić, chodzi tu przecież o rzecz arcyważną: zdrowie, często życie człowieka. Chory nieraz sam proponuje aby o jego stanie zdrowia i leczeniu zadecydowało konsylium lekarskie. W czasach jeszcze niezbyt odległych konsylia lekarskie nie należały do rzadkości. Wynikało to głównie z ówczesnych zwyczajów, przede wszystkim zaufania do leczenia w domu, gdyż wielu, zwłaszcza ciężej chorych, nie korzystało ze szpitala. Wiele rodzin miało do dyspozycji tzw. swego lekarza domowego, najczęściej ogólnopraktykującego, z którym często łączyły je stosunki przyjacielskie — i tylko u niego się leczyło. Kiedy zachodziła poważniejsza konieczność lekarz domowy wzywał na konsylium wybitnego specjalistę. W wyjątkowych wypadkach na naradę zbierało się wielu lekarzy, co wówczas określano nazwą „konsylium-monstre".

Instytucja narad lekarskich staje się dzisiaj coraz rzadsza. Jej miejsce zajęły konsultacje szpitalne, co jest zrozumiałe ze względu na coraz szerszy rozwój społecznej służby zdrowia. Mimo to konsultacje nie zawsze zdolne są zastąpić konsylium i w przypadku podanym przez redakcję właśnie konsylium mogło się okazać bardzo pożyteczne. Może właśnie dobrze by było z niego skorzystać tym razem. Jednak i konsylium nie powinno stosować przymusu w leczeniu.

Listy do KAMENY

[Za]pominajmy o Ulrychu

...ując do mojego artykułu „Lu... w służbie Szekspira" drukowa... w nr 19 „Kameny", proponowa... swoim czasie, aby uczcić w ja... sposób osobę Leona Ulrycha ...owa Lubelskiego jako tłumacza ...kich utworów Szekspira. Za ra... „Kameny" napisałem w tej spra... Wydziału Kultury WRN w Lu... ...skąd otrzymałem krótką odpo... Przypuszczam, że sprawa ta ...le jakąś formę realizacji i cze... na dalsze wiadomości, przesyłając ...obu listów.

JAN DĄBROWSKI, Rosinów

...WYDZIAŁU KULTURY PREZ. WRN W LUBLINIE

...szczególne zasługi dla kultury pol... położył Leon Ulrych, który prze... ...zył wszystkie utwory Szekspira ...ał się w ten sposób unikatem ...tłumaczy polskich XIX wieku ...wyjątkowe stanowisko w litera... światowej. L. Ulrych urodził się ...Urzędowie Lubelskim, kształcił się ...szkołach lubelskich. Przypuszczam, ...byłoby wskazane uczcić ten fakt ...urządzenie jakiejś uroczystości ...nej w Urzędowie łącznie z wmu...waniem tablicy lub tp... Gdyby taka ...rystość mogła odbyć się w lecie ...szłego roku, to mielibyśmy zapew... ...w niej udział prof. dr Stanisława ...tyńskiego, b. kierownika Zakładu ...istyki UW i najlepszego szekspi...ga w Polsce.

Pozostaję z poważaniem
mgr inż. Jan Dąbrowski

OBYWATEL
MGR INŻ. JAN DĄBROWSKI

...Wydział Kultury Prezydium WRN ...Lublinie serdecznie dziękuję za ...przedłożoną inicjatywę zorganizowania ...uroczystości poświęconych postaci Leo... Ulrycha, którą uważa za bardzo ...ną. Propozycja zostanie rozpatrzona ...porozumieniu się z władzami po...wiatowymi, którym przedłożony został ...niejszy projekt.

Kierownik Wydziału
mgr Zbigniew Frąc

[Za] współpracę MKPL i OKKP

...W związku z moimi zainteresowania... dla pamiętnikarstwa chłopów do... ...m do ukazującego się dzięki „Ka...mie" organu Międzywojewódzkiego ...bu Pisarzy Ludowych „Ziemia ...ieśń". Chciałbym zaproponować na...wiązanie współpracy między MKPL ...Ogólnopolskim Korespondencyjnym ...bem Pamiętnikarzy, jaki istnieje ...y redakcji „Nowej Wsi" (drugi przy ...ZMW), co z wielu względów wy... się być wskazane i pożyteczne. ...analogiczną propozycją wystąpiłem ...adresem OKKP, kierując ją per...nalnie do zastępcy redaktora naczel...go Jana Bijaka.

...Warto wspólnymi siłami — plus Ko...ja Pamiętnikarska PAN i ew. tak...inni współorganizatorzy, zwłaszcza ...dysponujący pieniędzmi na na...dy — zorganizować konkurs ogólno...ki dla pisarzy ludowych na temat ...Moja droga do literatury". Lub w ...dla twórców ludowych i wtedy ...dać odpowiednio szerszy temat: ...oja droga do sztuki". A to dlatego, ...wielu pisarzy ludowych jest równo...śnie aktywnych także w innych ...dziedzinach twórczości artystycznej, ...mując się np. kowalstwem, wycinan...itp.

...Dziwię się bardzo, że dotychczas je...cze nie doszło do współpracy pomię... dwoma tak zbliżonymi zaintereso...waniami klubowymi jak MKPL ...OKKP. Podobnie dziwię się, że w ...krujących się publikacjach ludową ...raturę i ludowe pamiętnikarstwo ...aktuje się jako dwie odrębne dzie...iny twórczości i aktywności naszej ...si.

...Koresponduję zarówno z Komisją ...miętnikarską PAN, jak i z redakcją ...Nowej Wsi" na temat ustanowienia ...rocznej nagrody pamiętnikarskiej ...Jakuba Wojciechowskiego, powoła... Towarzystwa Miłośników Pamięt...karstwa im. Marii Dąbrowskiej ...własnym organem o charakterze po...larnym jak i zorganizowania Ośrod... Pamiętnikarstwa Ludowego wraz ...muzeum i archiwum. Periodyk „Lite...ura Ludowa", będąc u nas jedynym ...mem poświęconym kulturze ludo..., zajmuje się przede wszystkim ...folklorem, literaturą niepisaną, bardzo ...zaś pisaną i raczej wcale pamięt...karstwem.

KONRAD STRANC, Wrocław

Lublin piękny?

„Miasto będzie wspaniałe i piękne. ...nikt o tym nie wie" — pisał Ja...z Danielak w artykule „Twarz mia...a" („Kamena" nr 10). Szkoda tylko, ...lublinacy nie biorą żywszego udzia... w budowie miasta, w dyskutowaniu ...planami, że za mało interesują się ...szymi sprawami i perspektywicz...m rozwojem swego miasta. Szkoda ...że właściwe urzędy i insty...cje, powołane do opracowywania ...nów rozwojowych Lublina, nie po...ryzują swoich opracowań i nie ...dzielą się powziętymi myślami ze spo...łeczeństwem. Myśli te, chociażby naj... w granicach możliwości pracow...ków Pracowni Urbanistycznej, mogą ...wzbogacone przez amatorów. Wszak ...umiłowania rodzą się najlepsze my... i dzieła. Może to zbyt romantyczne ...e, ale życie potwierdza je na każ...kroku.

...FRANCISZEK SURDACKI Opole Śl.
...lubliniak z okresu studiów

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● Na prawie 800 tys. zł oceniana jest wartość prac społecznych, wykonanych przy budowie telewizyjnej stacji retransmisyjnej w Gołdapi.

● W konkursie literackim „W moim zakładzie", ogłoszonym w Łodzi przez Zw. Zawod. Prac. Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, trzecie nagrody zdobyli red. Hipolit Lisowski z „Gazety Białostockiej" oraz Teofil Zolrochowicz z Fabryki Pluszu. Pierwszej nagrody nikomu nie przyznano.

● Na III Wojewódzkim Przeglądzie Amatorskich Zespołów Lalkowych najlepiej wypadły „Agatka" z Białegostoku, „Iskierka" z Gołdapi oraz „Skrzat" z WDK.

● Stała scena młodzieżowa w Technikum Mleczarskim rozpoczęła nowy rok pracy. Wystąpił teatr poezji z I liceum ogólnokształcącego pod kierunkiem Leokadii Chróścik z programem „Dobry wieczór monsieur Chopin".

● Kierownictwo studenckiego teatru „Kontrasty" objęła Tatiana Osowska, studentka VI roku. Kierownictwo artystyczne sprawuje aktor Teatru im. Węgierki Aleksander Iwaniec

LUBLIN

● 6 grudnia w Liceum im. Jana Zamoyskiego odbyła się z udziałem pracowników naukowych UMCS sesja popularna na temat roli Lublina w Tysiącleciu.

● W dniach 8—9 grudnia odbyło się tu spotkanie przewodniczących komisji oraz kierowników Wydziałów Kultury Prezydiów MRN Lublina, Białegostoku, Kielc i Rzeszowa. Omawiano doświadczenia z pracy kulturalnej oraz udział zaprzyjaźnionych miast w obchodach 650-lecia nadania praw miejskich Lublinowi.

● Pracownicy Muzeum na Zamku opublikowali dotychczas 50 pozycji wydawniczych. Część to prace popularyzatorskie, część naukowe.

● 60 zespołów artystycznych, 20 kursów oświatowo-politycznych i 18 szkół zdrowia istnieje przy kołach ZMW w pow. Janów Lub.

● Przy ZDK w Świdniku powstał młodzieżowy kabaret „Ikarek". Ale z braku tekstów lokalnych trzeba odtwarzać teksty autorów warszawskich, co chyba nie jest właściwe.

KIELCE

● W konkursie wojewódzkim na publikacje o budownictwie I nagrody nie przyznano, II otrzymał red. R. Henl z rozgłośni radiowej, dwie III red. L. Burek i red. A. Małachowski ze „Słowa Ludu" Winszujemy.

● Bardzo cenny zabytek posiada Wodzisław — zbór kalwiński z XV w., dość wierna kopia zboru w Strasburgu, zbudowanego pod nadzorem samego Kalwina. Zbór w Wodzisławiu ma być zamieniony na „muzeum prekursorów współczesnego socjalizmu". Za takich prekursorów uważa się Braci Polskich, których ruch narodził się właśnie tutaj.

● W sobotę 3 grudnia w Ostrowcu otwarto muzeum regionalne, które obejmie trzy działy: starożytne hutnictwo, ceramikę i dzieje ruchu robotniczego.

● Ze względu na duże zainteresowanie wystawa fotografii reporterskiej Bronisława Dudy była eksponowana aż w dwóch salach Radomia — najpierw w sali koncertowej, potem w Klubie MPiK.

● W sali Uniwersytetu Kultury przy Muzeum otwarto pierwszą w województwie wystawę numizmatyczną. Organizatorem jest utworzony ostatnio Oddział Polskiego Towarzystwa Archeologicznego.

RZESZÓW

● Ambitny teatr amatorski Ziemi Lubaczowskiej wystawił „Moralność pani Dulskiej" w reżyserii Czesławy Manasterskiej. Po występach w powiecie planuje się wyjazdy poza granice powiatu.

● Dziennikarze rzeszowscy red. T. Ostrowski oraz red. St. Praszach otrzymali od Zarządu Głównego LOK odznaki i nagrody za działalność publicystyczną, propagującą działalność tej organizacji. Natomiast red Zdz. Kozioł otrzymał pierwszą nagrodę w dziale publicystyki w konkursie „Akcja więź", zorganizowanym przez CRZZ, ZHP i SDP. Gratulujemy.

● 21 listopada odbył się w Rzeszowie sejmik towarzystw, działających w województwie: 3 o charakterze naukowym, 4 stowarzyszeń miłośników regionów, 4 stowarzyszeń miłośników miejscowości i 8 pracujących nad upowszechnianiem sztuki. M. in. powołano Radę Popularyzacji Nauki, Radę Miłośników Regionu oraz Radę Upowszechniania Sztuki.

● Chór męski „Echo" w Jaśle obchodził 45-lecie działalności. Zasłużona placówka otrzymała złotą odznakę I stopnia Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych oraz medal 600-lecia Jasła.

● W Przemyślu odbyła się konferencja metodyczna dla kierowników i wychowawców domów dziecka. O psychologicznej analizie trudności wychowawczych mówiła mgr Halina Filipczuk, autorka kilku książek, z których „Dziewczyna z zakładu" jest filmowana.

Plecionkarstwo ludowe

PRZEDMIOTY plecione były stosowane w Polsce najdawniejszej, wczesnośredniowiecznej — o czym świadczą liczne przykłady znalezisk archeologicznych — i feudalnej, w gospodarstwie domowym jako naczynia do zbierania i przechowywania pożywienia, czy w transporcie. Stosowano też różnego rodzaju plecionki w budownictwie.

Sprzyjające warunki fizjograficzne oraz zachowawczy charakter regionu lubelskiego przyczyniły się do kontynuowania tradycji plecionkarskich na tym terenie, czego dowodem powszechne stosowanie do dnia dzisiejszego wyrobów plecionych.

stawiały one duże bogactwo form, od olbrzymich naczyń zasobnych w kształcie beczek (mogących pomieścić do 500 kg zboża), poprzez mniejsze naczynia zasobne o kształtach flaszowatych i dzbanowatych, aż do misternie wykonanych kapeluszy i zabawek. Ciekawym zestawem form wyróżniały się prace Józefa Tarnowskiego z Busówna (pow. Chełm), Ignacego Abramika ze wsi Jamy (pow. Lubartów) i Czesława Sarnackiego z Dołhobrodów w pow. włodawskim. Od omówionych wyrobów wykonywanych techniką spiralną odbiegały prace Jana Krasowskiego z Kozieńca (pow. Krasnystaw), wykonane również techniką spiralną, ale w nieco odmienny sposób.

Świadectwem tego był ostatnio konkurs, zorganizowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Wydział Kultury Prezydium WRN i Muzeum w Lublinie. Koszykarze w dość nierównym stopniu zainteresowali się konkursem, co można tłumaczyć faktem, iż była to pierwsza w Polsce tego rodzaju impreza; uczestniczyło w niej 23 twórców z 18 miejscowości. Ocena wyników konkursu nasuwała spore trudności z powodu różnorodności technik i materiałów przy dość wyrównanym poziomie. Ostatecznie przyznano 6 nagród pierwszych po 1000 zł, 2 nagrody drugie po 800 zł, dwie trzecie po 600 zł i kilkanaście niższych. Reszta plecionkarzy otrzymała nagrody za uczestnictwo.

Pion konkursu, uzupełniony dla porównania eksponatami muzealnymi, pokazano na wystawie urządzonej w Muzeum w Lublinie. Podczas otwarcia wystawy koszykarz Władysław Bakun ze wsi Krasne w pow. parczewskim demonstrował wyrób koszyków na rzadko już spotykanym pionowym warsztacie koszykarskim.

Wystawa „Ludowe plecionkarstwo Lubelszczyzny" miała za zadanie pokazać rzemiosło zarówno dawne jak i współczesne oraz zapoznać społeczeństwo z jego osiągnięciami zarówno technicznymi jak i artystycznymi.

Dominowały najlepiej zachowane na Lubelszczyźnie wyroby ze słomy. Przedmioty ...

Eksponowane przedmioty z korzeni, łyka i młodych pędów drzew są już zaliczane do kategorii zabytkowych. Wyjątkowo wykonuje się je w czasach obecnych, dlatego koszyki z korzeni Włodzimierza Bryzgi ze wsi Hanna w pow. włodawskim, posiadające proste w swej formie ornamenty geometryczne, uzyskały I nagrodę w konkursie.

Niesłychanie interesujące ze względu na zastosowany surowiec były wyróżnione również I nagrodą kapelusze i talerze, wykonane z trawy przez Stanisława Olszaka z Żyrzyna w pow. puławskim.

Duże zainteresowanie wystawą ze strony społeczeństwa powinno stanowić wskazówkę dla instytucji organizujących sprzedaż ludowych wyrobów artystycznych — w szczególności zaś CPLiA w Lublinie, w której sklepach znajdziemy wyroby plecione ze słomy, ale pochodzące z woj. białostockiego.

Katalog wystawy, opracowanej przez Krystynę Basistową i Janinę Peterę, zawiera informacje dotyczące ludowego plecionkarstwa Lubelszczyzny, wykaz eksponatów, wkładkę ilustracyjną z 36 reprodukcjami oraz wykaz osób nagrodzonych w konkursie.

Ciekawe w swej formie wyroby plecione powinny stać się obecnie jednym z bardzo nowoczesnych elementów dekoracyjnych i użytkowych współczesnego wnętrza.

Alfred Andrzej Gauda

Koniec zabawy Orłosia i innych

(Dokończenie ze str. 9)

ko egzystencję stłamszoną przez molocha „małej stabilizacji", rządzoną przede wszystkim przez wartości konsumpcyjne.

Młodzi krytycy widzą „czarno" przed młodymi pisarzami. Nie sądzę, aby były ku temu wystarczające powody. Prozaicy ci, rozliczyli się z normalnymi mitami młodzieńczymi, które wyrosły z dziecięcych spodziewań i zabaw w życie, poczynają poszukiwać w swojej twórczości symptomów choroby naszego świata, tam gdzie ta choroba oczywiście istnieje; przy czym równocześnie kryje się za tym diagnoza — zbudowanie ekonomicznych podstaw socjalizmu oraz zaspokojenie potrzeb bytowych społeczeństwa nie wyznacza automatycznie socjalistycznego modelu stosunków międzyludzkich. Wierzę, iż w przyszłości padną propozycje terapii ze strony młodych twórców. Cieszę się natomiast, że już dziś prezentują oni warsztat artystyczny, któremu można zaufać.

Maciej Podgórski

Nie gloryfikujmy kowboja

(Dokończenie ze str. 1)

Najpierw sprawa Indian. Nawet ci, których pokazuje się jako ludzi pozytywnych, są równocześnie ludźmi jeżeli nie zawsze pod względem kulturalnym, to prawie zawsze cywilizacyjnym czymś w rodzaju prymitywu. Uczuciom naszej sympatii niezmiennie towarzyszy uczucie współczucia. Nie twierdzę, że w ten sposób ktoś zmierza szerzyć uczucia rasistowskie. Ale pokazuje się amerykańską rzeczywistość, która w dużej części przetrwała do dzisiaj, zarówno w stosunku do Indian jak i do Murzynów. Czy w tym ostatnim wypadku nie trzeba dopatrzeć się podtekstu, że chodzi o jakieś usprawiedliwienie segregacji rasowej?

Autor artykułu wiele rozwodzi się nad pozytywnymi cechami bohaterskich kowbojów. Nie bawmy się w szczegóły, które są dyskusyjne. Ale czy p. Borowski uważa, że młodzi widzowie w wieku 12—18 lat, którzy najbardziej lubią westerny i są najbardziej wytrwałymi widzami, analizują postawę etyczną bohatera, czy też bardziej fascynuje ich szybkość operowania rewolwerem, siła pięści, częstotliwość kopniaków, umiejętność wiązania słabszego itp.? Proszę posłuchać ich komentarzy na sali, rozmów jakie prowadzą po wyjściu z kina. Jeżeli w konsekwencji uczą się strzelania, z braku rewolwerów — z procy czy łuku, zarzucania lassa czy błyskawicznego podstawiania nogi, to nie dla tego, aby milicji pomagać, w chwytaniu chuliganów. Wystarczy także przejść do jakiegoś parku aby zobaczyć, jak strzelają z tych proc do ptaków, wiewiórek, czasem nawet w stronę tych, którzy zwracają im uwagę na niestosowne zachowanie się. Że bez oglądania westernów też będą to robili? Oczywiście — rzecz tylko w tym, czy rzadziej czy częściej. Twierdzę stanowczo, że po oglądaniu nawet najlepszych filmów kowbojskich robią to częściej.

Nie jest chyba rzeczą zadziwiającą, że „najlepsze" (chodzi mi tu o jakość względną) westerny produkuje się w Stanach Zjednoczonych, w kraju słynnym ze swoich gangsterów, w kraju o najwyższym procencie przestępstw. Próby naśladownictwa w innych krajach zawsze kończyły się niepowodzeniem. Ostatnio we włoskim miasteczku filmowym Cinecitta kręci się seryjnie coś w rodzaju parodii amerykańskich filmów kowbojskich — z takiego właśnie filmu przesyłam do reprodukcji podobiznę „kowbojki". Ale i te parodie — jak zgodnie piszą prawie wszyscy recenzenci — wyglądają dosyć żałośnie. A przecież wiele filmów włoskich to osiągnięcia na skalę światową. Widocznie jednak specyficzny charakter westernu związany jest z tym, co nazywamy amerykańskim stylem życia. Stylem, który trudno uznać za wysoce etyczny.

Marian Karpowski

„Poemat o Majdanku"

W DNIACH 4 i 5 listopada odbyła się w obozie na Majdanku kolejna sesja popularnonaukowa na temat „Majdanek oskarża". Gdy przed tą sesją przeglądałem swoją bibliotekę, natrafiłem na książeczkę, której chyba warto poświęcić kilka słów. Książeczkę ową pod tytułem „Majdanek — poemat" napisał w pierwszych dniach po wyzwoleniu Stanisław Szper i własnym nakładem wydał w październiku 1945 r. w Inowrocławiu. Nie wiem, kim jest autor, chociaż kilka miesięcy później zamieszkałem właśnie w Inowrocławiu i książeczkę otrzymałem prawdopodobnie z tego powodu, że pracowałem w ukazującym się tam dzienniku „Robotnik Kujawski".

Pod względem literackim tekst nie przedstawia absolutnie żadnej wartości. Jest to po prostu proza, nawet nie najlepsza, ułożona w rymowane wiersze. Pewno z tego powodu nie zainteresowałem się wtedy autorem, zresztą i dzisiaj moi znajomi pochodzący z Inowrocławia też nic o autorze nie mogą powiedzieć.

Objętość książeczki w niebieskim kartonie wynosi 68 stron, na okładce drzeworyt z wiszącym na szubienicy człowiekiem. Szper pisze w przedmowie, że sam nie był więźniem Majdanka, ale pracę swoją oparł na „Rozprawie przed Specjalnym Sądem Karnym w Lublinie", która rozpoczęła się 27 listopada 1944 r. a objęła 6 członków formacji SS.

A oto kilka próbek z tego „poematu", na podstawie których można sobie wyrobić sąd o całości. Zaczyna się książeczka tak:

„Drang nach Osten" — odwieczne
Germana plany
Spełniały już dawniej Krzyżackie hordy:
Burzyli chaty, niszczyli zboża łany,
Ich pochód znaczyły gwałt, zdrada i
mordy...

A oto co można przeczytać o jedzeniu w obozie:

Najczęściej były buraki, brukiew,
Kartofle z brukwią i ziarnkiem kopru,
Rzepa, kartofle, czasami marchew,
Nigdy nie było listeczka bobku...

Tak rzekomo zaczynał swoje przemówienie prokurator Sawicki:

Mam mówić o winie oskarżonych,
Mam uwypuklać dokonane zbrodnie,
By na podstawie czynów popełnionych
Sprawiedliwości zapalić pochodnię...

A jednak rozumiem autora i cenię jego wysiłek. Natura poskąpiła mu talentu poetyckiego, ale przecież pamiętajmy, że Szper napisał swój „poemat" głęboko poruszony — jak cały naród — świeżo ujawnionymi na lubelskim procesie zbrodniami. Pisał jak umiał, poświęcił nawet na to rymotwórstwo wiele czasu wtedy, gdy wielu innych zajmowało się szabrem, nie wahał się nawet sfinansować całej imprezy z własnej kieszeni.

Książeczkę pozwalam sobie przekazać do Biblioteki im. Łopacińskiego, która jej w swoich zbiorach nie posiada.

J. D.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.

Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka"), ul. Wesołowskiego 1, tel. 37-41, KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu"), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji
Lublin, ul. Graniczna 7
tel. 234-49

Zam. 3970 6.XII.60 L-6

Z ŻYCIA WZIĘTE

Remanent

Z NOWYM ROKIEM raźnym krokiem — mawiał dziadek kolegi przykuty przez paraliż do fotela na kółkach. Przypominam sobie ten okrzyk zawsze, kiedy przychodzi koniec roku i człowiekowi się zdaje, że zerwanie ostatniej kartki z kalendarza coś zakończy i coś jednocześnie zacznie. Wiemy, że to złudzenie, a jednak poddajemy się mu i zaczynamy wierzyć, że pierwszego stycznia wszystko zacznie się od nowa Porządkujemy bieżące sprawy, robimy remanent w naszych notatkach, są tacy, którzy oddają pożyczone książki, ba! nawet pieniądze. Na moment zapominamy o naszym fotelu na kółkach.

* * *

Co w takiej sytuacji może robić felietonista? Pieniędzy nikomu nie oddaje, bo po pierwsze ich nie ma, po drugie zaś — nikt mu ich nie pożycza. Książek też nie oddaje. Nie ma ani swoich, ani cudzych. Felietonista żyje na koszt innych, żywi się taką specyficzną padliną, którą tworzą ludzkie słabości, błędy i upadki. Pod koniec roku felietonista zagląda gorączkowo do swoich notatek i upewnia się, czy wszystko wykorzystał. Robi remanent. Ostatnia kartka kalendarza jest sygnałem, że trzeba się śpieszyć. Nazajutrz może być już za późno, materiały postarzeją się o cały rok.

* * *

Mój remanent... Najpierw pan Bohdan Tomaszewski, sprawozdawca Polskiego Radia, który w chwilach wolnych od służbowych zajęć produkuje się na łamach „Kultury”. Zazwyczaj pisze o sporcie, czasem jednak zajmuje się swoimi osobistymi sprawami. Kiedyś, przed niespełna rokiem, w ramach tej raczej niesportowej dyscypliny nasz sprawozdawca zaatakował trenera kadry piłkarskiej, Ryszarda Koncewicza. Czego w tym felietonie nie było... Nie było przede wszystkim obiektywnej oceny. Koncewicz odszedł, przyszli inni trenerzy. Czy się coś zmieniło w polskiej piłce nożnej? W jednym z ostatnich numerów „Kultury” pan Bohdan Tomaszewski wystąpił ponownie w swojej koronnej dyscyplinie. Tym razem zaatakował trenera polskich szermierzy, Czajkowskiego. Ten felieton trzeba koniecznie przeczytać w całości. Ja ograniczę się do zacytowania tylko jednego ustępu, który najlepiej charakteryzuje metodę stosowaną w takich wypadkach przez naszego popularnego sprawozdawcę:

„...Jeśli szermierze gorzej fechtują się, znak, że są gorzej trenowani. Logiczne przesłanki wywołały oburzenie p. Czajkowskiego. — Protestuję! Rezygnuję! — Zabrzmiało to niemal tak, jakby szef szkolenia zawołał: — Polska szermierka to ja! Już ktoś kiedyś tak wołał, tyle że nie chodziło o szermierkę, i ten ktoś był nie szefem szkolenia, a królem Francji. Ale w ogóle było to dość dawno temu”.

Rozumiecie coś z tego? Najpierw wkłada się w usta człowieka odpowiednie słowo, potem mówi się jak ono zabrzmiało, po czym przywołuje się jakieś widmo z historii powszechnej i kończy się bogu ducha winnego działacza w sposób wywołujący zdumienie i przerażenie. Co ma piernik do wiatraka, co ma król Francji do polskich szermierzy? W sporcie obowiązuje fair play. W pisaniu o sporcie również.

* * *

Swoistą metodę zaprezentowała także „Gazeta Sądowa i Penitencjarna” (do otrzymania w każdym kiosku „Ruchu”). Oto skończyły się kłopoty z ujawnianiem chuliganów. Wystarczy zapytać się młodego chłopaka jaką lubi muzykę. Jeśli odpowie, że poważną, lub wymieni takie nazwiska, jak Chopin, Brahms, Czajkowski lub Strawiński, wtedy można odetchnąć, mamy bowiem do czynienia z przedstawicielem tzw. zdrowej młodzieży, na której można polegać i w ogóle. Jeśli natomiast w odpowiedzi padnie słowo big beat, wtedy bez zastanowienia należy rozejrzeć się za milicjantem, mamy bowiem przed sobą okaz zwykłego chuligana. Proste, prawda?

* * *

Pisałem swego czasu o polskiej reklamie. Nie ulega wątpliwości że zmienia się ona stale na lepsze. Nie ma dziś instytucji, która by nie reklamowała swoich usług. PKO nawołuje do oszczędności, ORS do kupowania na raty, handel do wydawania pieniędzy. W tym ostatnim wypadku reklama robi istne cuda. Ludzie rzeczywiście wydają pieniądze na towary, które często poza kształtem nie mają nic wspólnego ze swoją nazwą. Moja znajoma kupiła futro produkcji Gdańskich Zakładów Futrzarskich. Po dwóch miesiącach włosy zaczęły wypadać jak psu na wiosnę. Futro wyłysiało. Znajoma poszła do sklepu z reklamacją. Futro przesłano do ekspertyzy. Opinia fachowa brzmiała: „Futro jest dobre, włos wypada prawidłowo. Reklamacji nie uwzględnia się”. Futro kosztowało 5 tys. zł. Na gmachu sklepu, w którym to futro zostało zakupione, przez długi czas wisiał neon: „PDT sprzedaje korzystnie”. I rzeczywiście. Korzystnie dla siebie.

* * *

Nie zawsze jednak reklama działa cuda. Inny mój znajomy przeprowadzał się niedawno z jednego miasta do drugiego. Wiedział, że w kraju istnieje taka instytucja, która nazywa się PZU. Wiedział również, że ta instytucja często zamawia wielkie neony, głoszące, że „Przezorny zawsze ubezpieczony”. Mój znajomy postanowił ubezpieczyć swoje meble, przewożone przez PKS z owego jednego miasta do drugiego. Poszedł więc do PZU. Przyjęto go z wyszukaną grzecznością, jego zamiar wywołał ogólną radość. Kiedy jednak poprosił o odpowiednią umowę uśmiechnięci dotąd urzędnicy zro.... zatroskane miny i poczęli znajomego odwodzić od myśli skorzystania z ich usług. — Wie pan, tyle zachodu, tyle kłopotu, oczywiście, my ubezpieczamy, ale po co to panu, no dajmy na to że się coś panu po drodze rozbije, na przykład kieliszek do wódki, mała strata, może 3 złote, może 5 złotych, przeżyje pan to, a gdybyśmy zawarli umowę, to by była tragedia, jeden kieliszek, a ile badania, ile przesłuchiwań, ile protokółów i co, dostałby pan w końcu 3 złote, a może i nie, nigdy nic nie wiadomo...

Teraz mój znajomy zawsze traci humor, gdy widzi wielkie napisy: „Przezorny zawsze ubezpieczony”.

* * *

Trzeba kończyć remanent. Niestety, brak już miejsca na film polski, na powieści drukowane w prasie codziennej, na zimę stulecia, na młodych literatów. Pocieszam się jednak, że nowy rok nie obędzie się bez nich. A więc — Dosiego!

BAR

ALES VESELY, twórca tego obrazu, urodził się w [illegible] w Czechosłowacji. Studiował w praskiej Akademii [illegible] Pięknych. Uprawia malarstwo i grafikę. Miał ek[illegible] indywidualne w Pradze (1963 r.) i Libercu (1965 [illegible] udział w wystawach zagranicznych, m. in.: Argum[illegible] Warszawa (Krzywe Koło); Phases — Bruksela 1964; [illegible] tive Attuali — l'Aquilla 1965; Biennale Grafiki — [illegible] 1965; IV Biennale Paryskie 1965.

MINUTA MYŚLENIA

Jedzenie żaby

INSTYTUCJA kolejek na przystankach komunikacji miejskiej powstała niedawno. Przedtem wsiadanie do pojazdu odbywało się hurmem, jak do dziś na stacjach PKS. Ale nie chodzi tu o obserwacje w zakresie techniki komunikacji. Godne podkreślenia jest, że owo wprowadzenie porządku w nie zorganizowaną uprzednio mikrodziedzinę życia społecznego powstało za pośrednictwem i z inicjatywy samego społeczeństwa, a nie na skutek urzędowego przepisu. Jako spontaniczna odpowiedź zainteresowanych na pojawienie się nowego elementu w warunkach życia zbiorowego. Taką również ma metrykę (dość zresztą uciążliwy) usus podawania pieniędzy od czoła trolejbusu do konduktora za pośrednictwem łańcucha życzliwych rąk.

Wyraziła się tu cecha, którą można nazwać dyscypliną życia społecznego. Auto-dyscypliną. Powstał obowiązujący i praktykowany tryb postępowania nie wynikający ani z konstytucji, ani z paragrafów kodeksu karnego, ani nawet porządkowych przepisów ruchu drogowego, a jednak posiadający dość wyraźną sankcję. Ta sankcja wynika z umowy, z obyczaju, niemniej jednak trudno już teraz wyobrazić sobie zdobywanie pozycji pasażera MPK wyłącznie za pośrednictwem łokci.

Jednakże z wyrazami ulgi i satysfakcji statystycznemu Polakowi wyrywa się westchnienie w trybie warunkowym: gdybyż tak w innych dziedzinach! Gdybyż tak wszędzie, gdzie się da (a da się w wielu miejscach) wprowadzić tę jakąś sprawność poza-formalną, sprawność nie dającą się w całości zadekretować urzędowo, a jakże ułatwiającą życie każdemu z nas. Są niewygody, które bynajmniej nie wynikają z wymagań „podnoszenia wskaźników”, z „trudności wzrostu”, z „nieantagonistycznych sprzeczności socjalizmu”. Są niewygody wynikające po prostu z bezmyślności. Na przykład klient czeka na kelnera, bo zawieruszył się gdzieś bloczek do „bonowania”, kierowniczka bufetu zapatrzyła się w okno, przyszedł kumpel w sprawie karburatora (niepotrzebne skreślić). Później kelner jako interesant czeka na swego klienta jako urzędnika, bo podali herbatę, zaginęła pieczątka, maszynistka czyta list od koleżanki (niepotrzebne skreślić). Pojedynczemu kelnerowi, urzędnikowi itp. wydaje się to zyskiem, ponieważ w jego pojęciu to on chwyta moment relaksu wprawdzie ze szkodą dla „intruzów”, ale na swoją korzyść. Ale całość gromady wziętej jako suma owych kelnerów, urzędników itp. wyrządza sobie w ten sposób niewygodę, która przypada w proporcjonalnej części „na głowę” każdej z jednostek. Czy więc nie bezmyślność? Sami jedzą „tę żabę”, której z powodzeniem przy większym poczuciu więzi społecznej można uniknąć. „Obywatelu, pamiętaj o sprzężeniu zwrotnym. Dziś ty, jutro tobie ukradną SPOKOJ i CZAS”.

Jedzenie żaby odbywa się nie tylko w restauracjach. Odbywa się wszędzie, gdzie zdrowy czynnik rozsądku nie wprowadził pewnych prawidłowości w funkcjonowanie aparatu społecznego, tam, gdzie to funkcjonowanie tak całkowicie przepisem, regulaminem, okólnikiem uchwycić się nie da. I tam, gdzie niezdrowy czynnik źle rozumianego osobistego interesu ludzi się poczuciem tymczasowej wygody z tej racji, że „jeszcze tego na całe szczęście nie unormowali”. Wróćmy do przykładu z trolejbusem. Owszem, nie wskoczysz pierwszy, kiedyś ostatni przyszedł. Ale za to osiągasz dwie korzyści: 1) nie jesteś narażony na to, że cię ktoś uprzedzi, kto później przyszedł, a więc swego pierwszeństwa nie musisz wspierać dodatkowym wysiłkiem łokcia; 2) wsiadasz bez obrywania guzików, rozrywania szalików itp.

Ijon

P. S. A teraz wróćmy do trolejbusu nie jako przykładu. Dla jakiegoż ułatwienia część osób ma prawo wsiadać przodem? Ułatwienia? Jeśli osoby te mają przejazdy bezpłatne, to owszem, ale jeśli nie, to rozpoczyna się ta karawana dwudziestogroszówek, która wygody nikomu nie sprawia. A poza tym jest to jakiś czynnik zakłócenia regularności ruchu, który jako jednokierunkowy o wiele byłby łatwiejszy. No i za wygodę można to traktować tylko wtedy, kiedy się w założeniu przyjmie, że nakaz „do przodu” nie jest realizowany, bo w przeciwnym razie rezerwy miejsca wytwarzałyby się właśnie w tyle.

BIG-BEAT

Dziennikarz w łachmanach

PANIE Redaktorze! Z dużym zainteresowaniem czytam zawsze relacje dziennikarza, który na kilka tygodni przeistoczył się w murarza, konwojenta, czy też pracownika PZU. Materiał jest wówczas atrakcyjny, pogłębiony, pobudza do dyskusji, niekiedy przyczynia się do zmiany istniejącego stanu rzeczy. Owa reporterska metamorfoza może przynieść duże korzyści społeczne. Mam jednak poważne zastrzeżenia, jeśli dziennikarz wybiera się na tzw. peryferie życia i — bez żadnej przenośni — żebrze a potem na łamach „Argumentów” zdaje relację ze swej „działalności”. Uczynił tak ostatnio i pan Michał Bucikiewicz w reportażu (?) pt. „Byłem żebrakiem” („Argumenty”, nr 49), który przeczytałem z dużym niesmakiem.

Autor chwali się, że już w 1960 r. podczas Zaduszek zadebiutował przed IV bramą powązkowskiego cmentarza w Warszawie. „Wypiłem — pisze — dla kurażu trzy setki wódki... Alkohol nie przezwyciężył nieśmiałości... Opory okazały się silniejsze...” Pan Bucikiewicz jednak nie zrezygnował. „Ciekawość istoty problemu, który chciałem rozgryźć w kilka miesięcy później znów zawiodła mnie na żebraczy szlak... W pociągu Warszawa — Szczecin otwierałem przedział za przedziałem, mówiąc, że jestem wojennym inwalidą, bez domu, choroba nie pozwala mi pracować, proszę łaskawego państwa o wsparcie... Do Szczecina przyjechałem bogatszy o 120 złotych”...

Najwidoczniej panu Bucikiewiczowi spodobała się ta mistyfikacja, bo w końcu lipca 1963 roku wyruszył na Dolny Śląsk, a w 1964 r. na Pomorze Szczecińskie. Tutaj przeżył dodatkową przygodę, gdyż omal nie został pobity przez konkurencję. Ale... udało się. „Wyszarpnąłem — pisze — zawsze ukrywaną przed pójściem „na pracę” rękę. Ten, co mnie uderzył na sekundę oniemiał, otworzył usta, bo pewnie chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył... Mogliśmy ograbić (Bucikiewicz był w towarzystwie autentycznego żebraka) napastników do złotówki, ale my nie byliśmy bandziorami... Dwa wybite zęby, rozbity nos i kilka kopniaków w tyłek ma inny ciężar gatunkowy niż rozbojem zdobyte pieniądze”.

Proszę, proszę... Co za wspaniałomyślność! Mogli ograbić, a oni tylko wybili zęby.

Czy pan Bucikiewicz wspomniał, w jaki sposób zużytkował pieniądze „zarobione” na żebraninie? Daremnie oczekiwałem na stwierdzenie, że przeznaczył je na jakiś społeczny cel — PCK czy też na odbudowę Warszawy. Natomiast w pewnym miejscu wyczytałem: „O zmierzchu w zacisznych krzakach nad brzegiem kanału, w czasie sutej biesiady z racji zarobionych wspólnie 300 zł...” Komentarze wydają się zbyteczne.

I bez pana Bucikiewicza wiemy, że w kraju „działa” wielu żebraków, którym nie chce się pracować, ludzi którzy wolą w ten właśnie sposób zdobywać pieniądze. Niejednokrotnie potrafimy ich zidentyfikować na pierwszy rzut oka i jeśli dajemy im jakieś grosze to tylko po to, aby jak najszybciej przestali się naprzykrzać. Zdarzają sie jednak i osoby prawdziwie biedne, którym po prostu nie powiodło się w życiu, a żebranie jest dla nich — oczywiście chwilowo — smutną koniecznością. Reportaż pana Bucikiewicza traktujący problem bardzo jednostronnie wyrządza tym ludziom krzywdę. Tak mi się przynajmniej wydaje.

„Argumenty” mają w podtytule hasła: „humanizm. racjonalizm. kultura laicka”. Pierwsze hasło powinno zobowiązywać redakcję do większej selekcji materiałów. Pogoń za niezdrową sensacją z humanizmem nie ma nic wspólnego.

Jacek

P. S. Czekam na kolejny reportaż. Np.: „Byłem stręczycielem”.

ZBIGNIEW ŚLĄCZKA

ecce homo

wczoraj urodziłem się za wcześnie
dziś urodziłem się za późno

wczoraj mnie jeszcze nikt nie znał
dziś nikt mnie znać już nie chce

wczoraj gdy przechodziłem rysowano kółko na
dziś mnie wytykają palcami mówiąc jaki on kons

jutro nie włożę spodni wychodząc na ulicę
ale wiem że jutro nagość nie będzie buntem

błądzący dwunóg człowiek anachroniczny
pukam do samego siebie wpuść mnie

błądzący dwunóg człowiek anachroniczny
nie napotykany na niczyjej drodze poeta

wymierzam przestrzeń między sercem a ścięgn

by choć garść buntu ułożyć w sobie dla siebie

wpuść mnie
nie ma mnie we mnie
wyszedł i nie powrócił
cierpiący na zanik pamięci
niewysoki blondyn ostrzyżony na jeża
wyszedł niosąc własną kulę ziemską
narodzoną w chwilach boskiej niemocy
między jednym a drugim tworzeniem
między wczoraj a dzisiaj
między zmierzchem a świtaniem
między
narodzinami a śmiercią
które nigdy nie przychodzą w czasie właściwym

Z cyklu: „Moje deklinacje”

Koniec kariery

DO NIEDAWNA byłem człowiekiem pełnym inicjatywy (to nic, że prywatnej). Zdaje mi się, iż doskonale potrafiłem wyczuwać ducha czasu, którego złośliwcy zresztą zwą Koniunktura. Niestety, mój ostatni — i najlepszy chyba — pomysł zniechęcił mnie do tego całkowicie.

Otóż niedawno, przy ulicy Hiacentowej nr 5, otworzyłem „Biuro Pretensji”.

Wywieszka nad drzwiami mojego biura — „Tu można mieć wszelkie pretensje i w różnych słowach” — stała się magnesem, przyciągającym wręcz tłumy. Przychodzili lokatorzy i dyrektorzy, bogaci i głupcy, urzędnicy i żony, krawcy i brodaci, taternicy i docenci, asystenci, farmaceuci, łysi, zakochani, grafomani, milicjanci, renciści, zezowaci, klienci, świeci, pacjenci i właściciele psów.

Podjąłem niemały ciężar odpowiedzialności. Ponosiłem odpowiedzialność dosłownie za wszystko. Za nieudaną miłość i za spóźnione pociągi, za limity i za śmiecie, za wydarzenia i za niewydarzenia, za zawiedzioną przyjaźń i opadający tynk, za awans i za brak awansu, za śnieg. A za niedużą opłatą ponosiłem te odpowiedzialność w sposób pogodny i pełen taktu, co było szczególnie cenione.

Jak płomień na przykład wpadali do mojego biura pretensji młodzi poeci i od drzwi już wrzeszczeli:

— Dlaczego nie drukujesz, debilu?! Nie masz pojęcia o prawdziwej poezji!

Łagodziłem ich pogodnym przyznaniem się, że miałem trudne dzieciństwo i w ogóle kłopoty z czytaniem.

Innym razem wbiegł nie mniej podniecony klient i od razu do mnie wielkim głosem:

— Panie, czyś pa[illegible] wał, żeby tamtego [illegible] to stanowisko? Chy[illegible] prawdę pan zwari[illegible]

— Rzeczywiście [illegible] wiedziałem pogodni[illegible] nio coś źle się czuj[illegible]

Wchodził dyrekto[illegible] właśnie po długi[illegible] nych, cierpliwych r[illegible] odprawiony z kw[illegible] zjednoczeniu.

— Przecież to ost[illegible] tyzm! — krzyczał [illegible]

— Dlaczego ogranic[illegible] limity? (Jak gdyb[illegible] nie były już ogra[illegible] myślałem nic nie [illegible] To wy jesteście ogra[illegible] Patologia ekonomii!

I przyznawałem [illegible] a dyrektor wychodził [illegible] kojony. (Zwróćcie [illegible] proszę, na psychot[illegible] tyczny walor mojej [illegible] ności).

Przychodziła zatro[illegible] na:

— Mój mąż wyjech[illegible] kursokonferencję. O[illegible] nia więc nie mam [illegible] mieć pretensji o sw[illegible] udane małżeństwo.

I przez pół godziny [illegible] kadziesiąt złotych [illegible] konsekwencje fatal[illegible] myłki sprzed dzies[illegible]

Trzeba jednak, [illegible] przyznać lojalnie, [illegible] biuro funkcjonowało [illegible] wszystkim dzięki [illegible] panom klientom i [illegible] torom. Nie tylko f[illegible] wało — wręcz pros[illegible]

Niestety, właśnie [illegible] biuro pretensji zost[illegible] mknięte. I to nie, ja[illegible] wydawało, z inicjaty[illegible] finansowych, lecz [illegible] tak można powiedz[illegible] bardziej ogólnych.

Powiedziano mi [illegible] tej niezbyt uroczyst[illegible] monii zamykania:

— To było nieładn[illegible] na strony. Teraz [illegible] mają prtensje tylko [illegible] na. No to co my [illegible] roboty?

Janusz Daniela[illegible]

NOTY i notki

WE WSI SZANIEC w woj. kieleckim kino objazdowe z braku innej sali wypożycza od miejscowego proboszcza obszerny pokój na plebanii. Czynsz nie wydaje się wygórowany — 300 zł miesięcznie i darmowy bilet. Ciekawe tylko, czy proboszcz chodzi na filmy z Bardotką, zwłaszcza te stare, które najczęściej wyświetla się na wsi, gdy aktorka pokazywała się tylko w resztkach negliżu...

CO BYŁO TYM SNEM: płeć, morda czy roboty ziemne? Pisze bowiem Hamilton w „Kulturze” z 11 grudnia: „Dziś miałem sen jeszcze koszmarniejszy, śniło mi się, że jestem Hamiltonem i że siostry Panas wzięły mnie za mordę i skierowały do robót ziemnych”. Nie podzielamy bowiem poglądu, że najkoszmarniejszy dla Hamiltona był sen o tym, że jest Hamiltonem.

RADZIMY NAUCZYĆ SIĘ LICZENIA nawet dziennikarzom sportowym. Czytamy bowiem w „Trybunie Ludu” (nr 338) na ostatniej stronie: „Zawodnicy przekręcą zaledwie nieco ponad 400 km, przy czym najdłuższy trening będzie liczył 60 km. Razem takich przejażdżek... zaplanowaliśmy sześć”. Według nas sześć razy sześćdziesiąt (a 5 razy powinno być mniej) jest trzysta sześćdziesiąt a nie „nieco ponad 400”.

JAK SIĘ OKAZUJE NIE LUDZIE, ale mieszkania zachowują się niemoralnie. Przynajmniej zdaniem „Głosu Pracy”, który zamieścił takie zdanie: „Na ok. 4 mln mieszkań w miastach w 1965 r. — 11,4 proc. było już zużytych technicznie, a 21,6 proc. moralnie”. Ludzi można jeszcze reedukować, ale co zrobić z takimi mieszkaniami? Zburzyć szkoda, zmienić lokatorów niebezpiecznie...

Z POWODZI ANKIET, przeprowadzanych przez gazety, wyróżniła się ta, którą przeprowadziła „Gazeta Zielonogórska”. Chodziło o to, co przeciętny Polak robi w godzinach pracy. Oto opublikowane odpowiedzi: uwodzę szefa, uwodzę żonę kolegi, chowam się w oponie Ursusa C-328 i śpię, uciekam do kotłowni i robię na drutach, stoję w kolejkach sklepowych i myślę co ugotować na obiad... Ani jeden z tych, których odpowiedzi wydrukowano, nie pracował normalnie. Aż dziw bierze, że nasz kraj jeszcze istnieje i że redakcja tylko takich rzeczy się doczytała. Ale sądzimy, że została przez swoich czytelników po prostu zrobiona w konia.

OD PEWNEGO CZASU REDAKTORZY pism zakładowych są powoływani i odwoływani przez samorządy robotnicze. Nie rozumiemy więc, dlaczego np. „Głos FSC” nr 48 na dwóch pierwszych stronach zamieścił aż trzy fotografie z dyrektorem naczelnym. No ale i tak jest poprawa — kiedyś nazwisko dyrektora przeczytaliśmy na pierwszej stronie ponad 10 razy, na drugiej było podobnie.

KOMITET PARTII W MOŃKACH otrzymał od 21 kobiet list, protestujący przeciw rozpijaniu mężów przez miejscowy sklep GS. W liście można przeczytać i takie sformułowanie: „W naszej wsi mężczyźni, na ogół biorąc, są przepici na wylot”.

OBYWATEL A. W. POSKARŻYŁ SIĘ władzom wojewódzkim w Kielcach, że poczta przesyłki z USA przeznaczone dla niego doręcza jego bratu. Gdy zażądano wyjaśnień, poczta odpisała: „Uważamy sprawę za definitywnie i ostatecznie załatwioną, ponieważ obywatel A. W. ubiegłej nocy podpalił dom swojego sąsiada a sam popełnił samobójstwo rzucając się do studni”.

„OBY SZWAGIER TAK SKAPIAŁ, jak te ofiarowane świece” — modli się w kościele żona Józefa B. spod Kielc i to od 30 lat. Sprawa ma za tło zatarg majątkowy. Modlitwy jakoś nie pomagają, bo szwagier należy do najbogatszych ludzi we wsi, a Józef B. klepie biedę.

DYWERSJA CZY CO? Gdańska spółdzielnia budowy kotłów ogłasza w „Gazecie Białostockiej”, że wykonuje m. in. znaki drogowe oraz tablice z nazwami ulic dla osób prywatnych. Dla przedsiębiorstw państwowych zaś tablice nagrobkowe.

PRZED ROKIEM LUBELSKIE KINO „Robotnik” zamieniło twarde krzesła na fotele. Teraz resztki pokrajanych żyletkami foteli zamienia na twarde krzesła. „Kurier Lubelski” radzi, aby na widowni ustawić ławy obite blachą.